

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień Dnia 24-go marca 1945r. Rok VII. Nr. 12

TO W ARZYSZE BRONI

TRZY ZNAKI

Prawdziwa przyjaźń i koleżeństwo powstaje nie przy spotkaniu towarzyskim czy przy kieliszku, ale we wspólnym trudzie lub we wspólnym pokonywaniu przeszkód. A już nie ma mocniejszych węzłów koleżeństwa nad te, które zawiązują się na wojnie: te same niebezpieczeństwa, te same rany i ta sama groza śmierci — są jak cement, co spaja na wieki.

Braterstwo broni powstałe w czasie obecnej wojny między nami a Brytyjczykami, Amerykanami, Kanadyjczykami i żołnierzami wszystkich dominiów Imperium Brytyjskiego oraz Francuzami, Belgami, Norwegami, Jugosłowianami, Grekami — trudno wyliczyć wszystkie te przyjazne nam narody — to koleżeństwo pozostanie trwałe i nienaruszone.

Żołnierz nie jest politykiem, a często na polityce się nie zna. Mężowie stanu mogą się targować, przyrzekać najuroczyściej, zapominać o tym co wczoraj przyrzekli, nazywać białym to co jest czarne — to ich sprawa. Żołnierz tego nie zna i nie lubi, a już szczególnie żołnierz na froncie: tchórzostwo nazywa tchórzostwem, zdradę — zdradą, dezercję — dezercją, opuszczenie towarzysza w potrzebie — podłością. Ba, żołnierz patrzy po swojemu na nieprzyjaciela, z którym walczy, częstokroć inaczej, niż politycy. Żołnierza stać na takie uczucia ludzkie w stosunku do nieprzyjaciela, jak szacunek dla jego dzielności i waleczności lub życzliwość i pomoc dla rannego. Żołnierz walczy nie jak zwierzę, ale jak człowiek, chociaż wojna nie ma w sobie nic ludzkiego i zazwyczaj wyzwała w człowieku najgorsze instynkty.

Prawdopodobnie dwa tysiąclecia chrześcijaństwa, kultura i cywilizacja wieków, oraz głęboko wpojone poczucie praw boskich i ludzkich sprawiają, że wśród tego rozpętania diabelskich mocy, jakim jest wojna, żołnierze narodów kultury rzymskiej starają się zachować jak ludzie i jak chrześcijanie. Jest w tym wielka siła, ta sama siła, co prowadziła wyprawy krzyżowe o uwolnienie grobu Chrystusa, co zatrzymała hordy mongolskie pod Lignicą, co obroniła Częstochowę od Szwedów i co dała odsiecz Wiedniowi.

Zrodzone w czasie tej wojny braterstwo broni i koleżeństwo między żołnierzami różnych narodowości jest też jednym z przejawów tej siły. I tak jak członkowie jakiegoś tajnego związku — rozpoznają się ci żołnierze różnojęzyczni między sobą według tych samych znaków: Bóg — jako idea, prawo — jako zasada postępowania, wolność — t.j. wolność narodów, państw i jednostek ludzkich wewnątrz tych państw — jako cel tej wojny.

Oczywiście, nie znaczy to, że każdy żołnierz właśnie tak zawsze myśli, że zdaje sobie jasno sprawę z tego w codziennym życiu; bynajmniej, i to jest zrozumiałe, bo ten żołnierz przecież urodził się i żyje w warunkach, gdzie te zasady niepodzielnie panują i są czymś naturalnym, czymś co się rozumie samo przez się, jak dzień i noc, lub słońce, albo tak powszechnym i normalnym, jak wodociąg i elektryczność. Tych rzeczy się nie zauważa, bo one są i nie może ich nie być.

To wszystko razem wzięte jest jednym z bardzo poważnych czynników przyszłego braterstwa lu-

dów, przyszłej jakiejś społeczności narodów świata.

LOS ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Na tym tle rażąco odbija tragiczny los innych naszych towarzyszy broni, naszych i naszych wielojęzycznych tutejszych kolegów — towarzyszy broni, którzy nam są najbliżsi i najdrożsi, bo są to nasi bracia: żołnierze Armii Krajowej. Wspomniał, najlepszych żołnierzy świata.

Żołnierz Armii Krajowej nie znał tych wszystkich udogodnień, jakie dla nas tutaj i dla wszystkich żołnierzy alianckich są czymś nieodzownym, czymś, bez czego nie można, zdawało by się, walczyć: ogromnej maszyny służby zaopatrzenia, wspaniałych szpitali, domów wypoczynkowych, kantyn, N.A.A.F.I., Y.M.C.A., poczty polowej, urlopów, itd. itd. Żołnierz ten musiał sam sobie wywalczyć wszystko — nawet broń i amunicję, umundurowanie i żywność, środki opatrunkowe i środki łączności.

Miał tylko w sobie samym trzy

rzeczy: miłość Ojczyzny, wierność przysiędze i wiarę w zwycięstwo dobrej sprawy. Skromny rynsztunek żołnierski, ale jak przy tym wspaniały! Tego wyposażenia nikt nie mógł mu dać, ale i nikt też nie był w stanie odebrać. Chyba — śmierć.

Żołnierz ten nie miał za sobą oparcia o jawne parlamenty, jawne ministerstwa i sztaby, o jawną i powszechną opinię publiczną: to wszystko było w ukryciu, pod ziemią, w mrokach tajnej choć potężnej organizacji.

Nie miał tej świadomości nawet, że swoim ciężkim trudem okupuje spokój i bezpieczeństwo dla swoich najdroższych: przeciwnie, był przez swoją żołnierkę przyczyną ich ciągłego niebezpieczeństwa i narażenia.

Nie miał poklasku społeczeństwa za swoje czyny bojowe, bo za te czyny groziła mu śmierć z ręki tych, którzy to społeczeństwo zamienili w niewolników.

Nie miał pewności, że będąc ranny znajdzie spokój oraz należytą opiekę i wypoczynek w szpitalu: rana stwarzała nowe niebezpieczeństwo ujawnienia się

wobec Niemców i, rzecz jasna, egzekucji. Trudno jest wyobrazić sobie te warunki, w jakich walczył żołnierz Armii Krajowej. A walczył przez pięć lat.

ODRZUCONE BRATERSTWO WALKI

Nie jest jeszcze możliwe ustalić jak wielkie były z punktu widzenia operacyjnego dokonania Armii Krajowej. W przyszłości bez wątpienia ustali to historyk. Dziś można już z całą pewnością stwierdzić, że działania Armii Krajowej były bardzo pomocne dla ofensywy Armii Czerwonej w 1944 r. Na rzecz Armii Czerwonej i w porozumieniu z jej dowódcami działały całe dywizje polskie. Tego faktu nie zmienia, jest on znany zarówno sowieckim żołnierzom, jak i nam, jest on utrwalony w dokumentach. Żołnierz polski walczył ramię przy ramieniu, dla jednej sprawy z żołnierzem sowieckim, niepomny przeszłych krzywd i uraz.

Ale w tym wypadku nie powstało koleżeństwo ani braterstwo broni. Zamiast uznania dla towarzyszy broni, zamiast

żołnierskiej wdzięczności i przyjaźni — żołnierze Armii Krajowej doznali i ciągle doznają prześladowań, uwięzień i deportacji. Inni zostali rozstrzelani. Zapewne nie robili tego sami żołnierze sowieccy, prawdziwy żołnierz nie lubi katowskiego rzemiosła. Ale za żołnierzem sowieckim szedł wszechwładny N.K.W.D., bądź jawnie, bądź pod płaszczykiem "komitetu lubelskiego."

I oto z bohatera, z najtwardszego bojownika o wolność, żołnierz Armii Krajowej stał się "faszystą", "wrogiem narodu", stał się szcztym zwierzem. Nikt nie zna losu tych, którzy dostali się w ręce nowych władców Kraju. Przeważnie ślad o nich ginie. Przypominają się ponure słowa z 1939 i 1940 r.: "iz Rossiji wozwrata niet" /z Rosji się nie wraca/. Prawdopodobnie też ludwie ci nie powrócą, albo powrócą, jeżeli dożyją, dopiero wtedy, gdy wszystkie cele polityczne zostaną już osiągnięte i ich obecność nie będzie mogła nic zmienić.

Alianci w czasie powstania Warszawy uznali Armie Krajową jako armię regularną. Niemcy potraktowali jeńców z Warszawy według prawa międzynarodowego — mamy przecież adresy ich z Oflagów i Stalagów. A ci, dla których Armia Krajowa bezpośrednio działała — ci nie uznali jej za towarzysza broni. Nawet nie uznali za wroga, który przecież wśród narodów cywilizowanych cieszy się pewną opieką i prawami w wypadku wzięcia do niewoli. Nie stać ich było na szacunek żołnierski dla walecznych. Więc uznali — za przestępców, tak jak i Naczelnego Wodza tej armii, generała Bora.

KTO SIĘ UJMIE ZA KRZYWDĄ

My, najbliżsi tamtym prześladowanym, nie możemy zrozumieć tej okrutnej niesprawiedliwości, tej strasznej krzywdy. Wiemy, że jesteśmy bezsilni, że wołanie nasze nie będzie usłyszane, że nic nie możemy zrobić, by uratować naszych braci i położyć kres tym prześladowaniom. Wiemy, że nie będziemy nawet zrozumiani, bo nasze znaki rozpoznawcze: Bóg — jako idea, prawo — jako zasada postępowania, wolność narodów i jednostek ludzkich — jako cel tej wojny, nie są tam znane, ani nie są tam uznawane. Przeciwnie, są prześladowane.

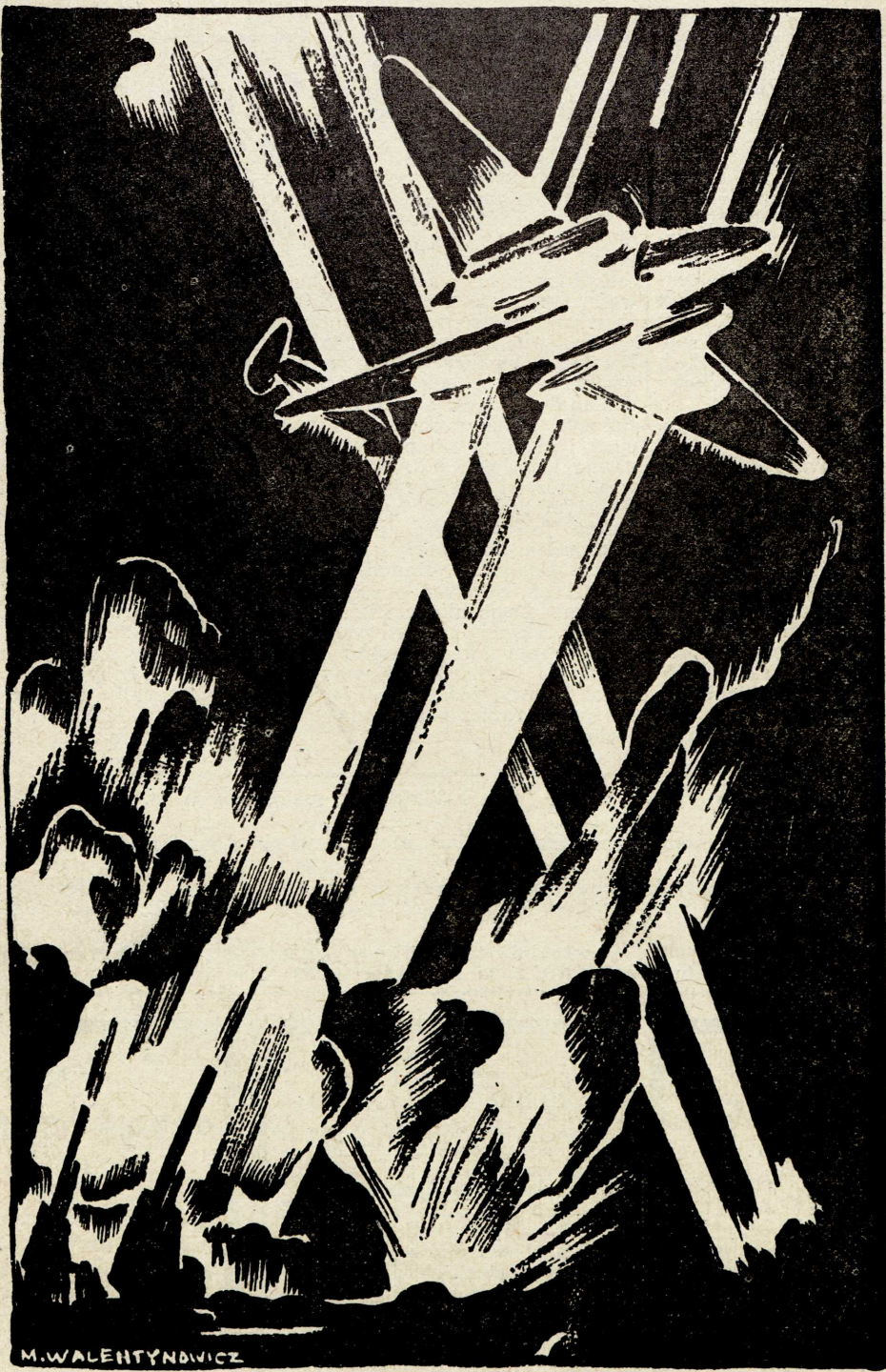
Taka jest rzeczywistość, chociaż trudno w to uwierzyć, aby taką zapłatę odbierał prawy żołnierz od swoich "towarzyszy broni." Chcielibyśmy im przebaczyć w imię miłosierdzia chrześcijańskiego, do którego wzywał ks. biskup Westminsteru Griffin w swoim przemówieniu. Ale kto przebaczy w imieniu tych rozstrzelanych i tych zmarłych na wygnaniu?

Więc my, Polacy, możemy tylko protestować albo myśleć o przebaczeniu tych krzywd. Innej pomocy dzisiaj nie jesteśmy w stanie okazać żołnierzom Armii Krajowej.

Ale, być może, nasi różnojęzyczni towarzysze broni z sił zbrojnych zjednoczonych narodów zastanowią się nad strasznym losem ich towarzyszy broni tam, w Polsce, i nie opuszczą ich w niedoli, bodaj tylko w imię jedności wiary i jedności kultury, jeżeli nie w imię uczciwości, ludzkości i braterstwa broni?

KONNY ARTYLERZYSTA

MARIAN WALENTYNOWICZ: Nocne bombardowanie



NAD RENEM, MOZELLA I SAARA

Trudno jest nazwać ostatni tydzień tygodniem wielkich wydarzeń. Poza jednym odcinkiem linie frontu nie wykazały większych zmian. Niemniej czuje się w powietrzu nie tylko wiosnę, ale i rozstrzygające wypadki wojenne. Wszędzie w Europie bliższe wydaje się to ostateczne i skoncentrowane uderzenie, które powinno powalić Niemcy na kolana.

Najpoważniejsze sukcesy raz jeszcze przypały w udziale Amerykanom. Miali one miejsce na nowym odcinku, bardziej na południe, aniżeli dotąd. Nad Mozellą i Saarą duże siły niemieckie wciąż jeszcze znajdowały się na zachód od Renu, podczas gdy wszędzie indziej zarówno dalej na północ, jak i dalej na południe Niemcy wycofali się pod naporem sojuszników za rzekę. Tylko tu więc istniała jeszcze możliwość zadania im ciężkiej klęski po tej stronie Renu. Dowództwo niemieckie mimo, że ten potężny "wykus" wprost prosił się o manewr oskrzydłujący z północy i z południa, niezbyt bodaj liczyło się z ofensywą sojuszników na tym odcinku, przewidując, że Eisenhower będzie się spieszył z ofensywą na Rurę i nie będzie się interesował Palatynatem i Zagłębiem Saary, przede wszystkim zaś polegali na uciążliwych liniach Zygfrida oraz linii obronnej wzdłuż Mozelli. Tymczasem Patton raz jeszcze przerwał się po mistrzowsku koło Kobleniec i zapuścił głębokie zagony na tyły frontu niemieckiego. Jednocześnie od południa napiera 7 armia gen. Patcha.

W chwili obecnej trudno jest jeszcze przewidzieć jakie siły niemieckie zostaną odcięte. W każdym razie w tym trudnym terenie odwrót może się okazać szczególnie kosztowny dla Niemców; co więcej, zagłębie Saary jest już dla nich stracone. A dziś, gdy Górny Śląsk jest w rękach Rosjan, Rura zaś pod ogniem artylerii sojuszników, utrata zagłębia Saary stanowi cios bardzo poważny dla potencjału wojennego Niemiec.

Nieco dalej na północ przedmoście koło Remagen rośnie z dniem każdym i stanowi już dziś dostateczną podstawę wyjściową dla ofensywy w wielkim stylu. Most Ludendorffa wprawdzie się zawalił, ale przedtem spełnił swe zadanie. Nie wiemy ile jest prawdy w doniesieniach niemieckich, że 15 armia amerykańska, której przybycie na front zachodni niedawno ujawniono, znajduje się już na wschodnim brzegu Renu, ale w każdym razie siły sojuszników są tu poważne. Z drugiej strony fakt, że Niemcy nie zdołali przeprowadzić ani jednego poważniejszego kontrataku na przedmoście, zanim je skonsolidowano, najlepiej bodaj świadczy o postępującym paraliżu niemieckiej maszyny wojennej.

Pogłębia się przekonanie, że to przedmoście nie zastąpi Sojusznikom sforsowania rzeki dalej na północ, niemniej odegra ono rolę, umożliwiając n.p. jednoczesne próby obej-

ścia Rury od północy i od południa. Niemcy wydają się oczekiwać wielkiej ofensywy sojuszników, która chwila i zapewne nie mylą się. Sytuacja w pełni dojrzała do zadania ostatecznego ciosu z zachodu.

NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

A ze wschodu? Ostatni tydzień nie przyniósł Rosjanom na ogół poważniejszych sukcesów. Szczecin, Gdynia, Gdańsk i Królewiec trzymają się nadal. Na odcinku na wprost Berlina Rosjanie zdobyli wprawdzie Kistrzyn — jak twierdzą Niemcy tylko częściowo — ale los ich własnych przyczółków na zachodnim brzegu Odry nie jest znany. Ruszenie nowej ofensywy Żukowa na Berlin ciągle odwołuje się. Ruszyło się nieco lewe skrzydło Koniewa, ale i na jego odcinku proces koncentrowania sił i sprzętu dla nowej ofensywy bodaj nie dobiegł jeszcze końca.

Może największym powodzeniem rosyjskim jest udaremnienie ofensywy niemieckiej na Węgrzech. Kosztowała ona Niemców dużo a wyników nie dała. Raz jeszcze okazało się, że Niemcy nie są już zdolni do żadnych większych zrywów ofensywnych.

Celowość tej ofensywy niemieckiej była — jak już podkreślaliśmy — bardzo poddawana w wątpliwość przez bestronnych obserwatorów, którzy nie widzieli czego się Niemcy po niej mogli spodziewać. Powiększyła ona długi szereg zagadek niemieckiej strategii, na które może dopiero pamiętniki niemieckich generałów kiedyś dadzą odpowiedź. W szczególności coraz bardziej zdumiewające jest utrzymywanie stanu rozproszenia sił niemieckich. W momencie gdy nie ma dość wojska, by obsadzić Ren, czy podjąć przeciwnatarcie na przedmoście pod Remagen, Niemcy wciąż jeszcze trzymają 15

dywizji w Norwegii, 28 dywizji we Włoszech, 20 z górą w Kurlandii i w Prusach Wschodnich i t.d. Te zmarnowane siły symbolizują bankructwo wielkich planów niemieckich, rozrzutność pozwalającą sobie na pozostawianie poważnych sił na straconych pozycjach.

ZABIEGI POKOJOWE

W tej chwili naprawdę wszystkie pozycje muszą się już Niemcom wydawać stracone. Dowodem, że tak jest w istocie, są mnożące się próby pokojowe. Z półoficjalnych doniesień wiadomo, że było takich prób ostatnio kilka. Odpowiedź Sojuszników na wszystkie te oferty jest jedna: poddanie się Niemców musi być bezwarunkowe. Kierownictwo Trzeciej Rzeszy czy to polityczne czy wojskowe nie wydaje się jeszcze gotowe do tego, ale nie było by niespodzianką, gdyby ta czy inna wielka formacja, może nawet cała grupa armii złożyła niebawem broń, uznając bezcelowość dalszej walki.

Jedno w każdym razie wydaje się pewne: świadomość, że podejmowane są próby pokojowe musi działać rozkładając na ducha żołnierza. A i tak już ostatnio mnożyły się objawy demoralizacji w wojsku niemieckim.

Niemieckie zabiegi pokojowe są także interesujące jako dowód, że Niemcy niczego się nie nauczyli. Niezgrabność i niezrozumienie przeciwnika są równie wielkie. Jak w przeszłości. Tak n.p. emisariusz niemiecki w Sztokholmie "groził", że jeżeli Sojusznicy nie zawrą pokoju, to Niemcy będą musieli "puścić" bolszewików w głąb Europy. A przecież wiadomo, że strach przed Rosjanami jest dziś większy w Niemczech, niż kiedykolwiek przedtem i że cały wysiłek niemieckiego naczelnego dowództwa skierowany był na wzmo-

wienie frontu wschodniego kosztem frontu zachodniego. Któż więc wierzy im, że gotowi są świadomie zaprzestać oporu na wschodzie, a walczyć dalej na zachodzie? Były momenty w przeszłości, kiedy taka polityka wydawała się możliwa, ale teraz niepodobna jej sobie wyobrazić.

Od tygodni propaganda niemiecka usiłuje spotęgować strach przed Rosjanami i nienawiść do nich. Dzień po dniu opowiada się mroźną krew w żyłach historii o okrucieństwach rosyjskich we wschodnich Niemczech. Mówi o nich sam Guderian. Do miast, które przez pewien czas były w rękach rosyjskich i zostały odebrane, wozu się dziennikarzy zagranicznych. Propaganda ta nie pozostała bez wyniku. Tak n.p. szwedzki "Aftonbladet" doniósł 13 marca z Berlina, że "wszędzie słyszy się o spalonych miastach i wsiach, zgwałconych kobietach, torturowanych żołnierzach i bezprzykładnym głodzie i niedzy. Rezultatem tego jest wzmożona nienawiść do Rosjan... Strach przed następstwami załamania się frontu rosyjskiego jest wszędzie widoczny. Lęk o życie i dobytek jest żywszy, niż kiedykolwiek. Na tym tle wydaje się, że apel Guderiana o zjednoczenie się dla obrony wschodniego frontu mieć będzie daleko idące konsekwencje".

Jednocześnie wszystkie doniesienia z terenów niemieckich okupowanych na zachodzie wskazują na daleko idące opanowanie. Podczas gdy na wschodzie ludność nawet bez rozkazu ucieka przed Rosjanami, na zachodzie Niemcy nie chcą się ewakuować i wita ją z ulgą pojawienie się wojsk sojuszników.

KIEDY KONIEC?

Są to czynniki, które trzeba brać pod uwagę, snując przewidywania na

temat przyszłości. Załamanie się oporu na odcinku jednej czy drugiej armii wydaje się bardziej prawdopodobne, aniżeli ogólne załamanie się zorganizowanego oporu.

I to jednak nie wydaje się zbyt odległe. Premier Churchill dawał do zrozumienia w ostatnim przemówieniu, że wojna w Europie może się skończyć bardzo szybko. Lato czy wczesna jesień wydają się dziś raczej najpóźniejszym terminem.

Teraz, gdy wojska Sojuszników idą w głąb Rzeszy, widać dopiero, jaką rolę odegrały bombardowania lotnicze w osiągnięciu zwycięstwa. Miasta niemieckie są bardziej zniszczone, aniżeli nawet można było wnieść z fotografii. Niemcy są tak zdewastowane, że nie podźwigną się przez wiele lat.

Obecnie, gdy zaczęto używać bomb 10-tonnowych i gdy wskutek skurczenia się obszaru będącego w rękach Niemców bombardowania wzmogły się jeszcze bardziej, tempo niszczenia resztek miast niemieckich będzie przyspieszone.

BRAK WSPÓLNEGO JEZYKA

Wszystko było by dobrze, gdyby strategia polityczna Aliantów dostrzegała kroku ich strategii wojskowej. Niestety tak nie jest. Zszedłszy z drogi zasad, porzuciwszy ideały, w imię których zaczęła się wojna, obóz sojuszników znalazł się na manowcach.

Mija już przeszło pięć tygodni od zakończenia konferencji w Jałcie, a nic nie wskazuje, by trzy mocarstwa były w stanie wprowadzić w życie uchwały, które tam powzięły. Co więcej, z dniem każdym bardziej oczywiste się staje, że osiągnięte na Krymie porozumienie było raczej nieporozumieniem, w tym sensie, że decyzyjny był od początku inacej rozumiane przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, a inacej przez Rosję.

Tak miała się rzecz z uchwałami dotyczącymi Polski, jak i z t.zw. "deklaracją o oswobodzonej Europie". W odniesieniu do Polski okazało się, że istnieje rozbieżność poglądów nawet co do tego, jak ma być przeprowadzona konsultacja z politykami polskimi na temat utworzenia t.zw. "rządu jedności narodowej". Na przykładzie Rumunii ujawniona została przepaść dzieląca poglądy demokracji Zachodu i Rosji na zapowiedzianą w Jałcie wspólną politykę trzech mocarstw w Europie.

Faktem jest, że Zachód i Rosja używają tych samych słów dla określenia całkowicie odmiennych rzeczy. Demokracja, wolność, rządy reprezentatywne, stronnictwa anty-nazistowskie — wszystko to inacej jest pojmowane przez Anglosasów, a inacej przez Rosjan. Półki trwać taki stan rzeczy, wszelkie układy nie mogą dać praktycznych wyników. Na nieporozumieniu nie można niczego budować.

Londyn, 18 marca 1945

ALEKSANDER BORAY

Przegląd tygodniowy

Z tygodnia na tydzień

12 marca: Wojska sowieckie zajęły Puck, Wejherowo, Tczew oraz Kistrzyn.

— Ponad 2350 bombowców Sprzymierzonych, opanowanych przez 1000 myśliwców, w tym również myśliwców polskich, bombardowało za dnia Niemcy, m.in. Dortmund i Swinoujście.

— Gen. Anders, p.o. Naczelnego Wodza przybył z Londynu na teren walk 2 Korpusu we Włoszech.

13 marca: Wojska sowieckie walczyły w rejonie Gdyni i Gdańska.

— Lotnictwo amerykańskie silnie atakowało bombami zapalającymi m. Osakę w Japonii.

14 marca: Samoloty brytyjskie atakowały most kolejowy w Bielefeld w Niemczech, po raz pierwszy

nowymi bombami ważącymi 22.000 funtów angielskich (około 10 ton).

— Wojska sowieckie zajęły Zwolen w Czechosłowacji.

15 marca: Wojska sowieckie dotarły do Zalewu Wiślanego oraz wdarły się na ulice Gdyni.

— Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie za dnia Zossen, na pld. od Berlina. Zossen jest siedzibą niemieckiego sztabu generalnego.

16 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Griefenhagen na pld. od Szczecina. Walki toczą się między Gdynią a Gdańskiem.

— Wojska amerykańskie przecięły w dwóch miejscach autostradę z Kolonii do Frankfurtu nad Menem.

— Ogłoszono, że opór nieprzyjaciela na Iwoszymie (Pacyfik) ustał.

— Rząd R.P. ogłosił protest wystosowany do rządów Narodów Zjednoczonych i państw neutralnych przeciw pominięciu Polski w zaproszeniach na konferencję w San Francisco.

17 marca: Wojska amerykańskie zajęły Kobleniec.

— Ogłoszono, że wojska niemieckie wycofują się z Zagłębia Saary.

18 marca: Wojska amerykańskie zajęły Bingen nad Renem, na pld. od Kobleniec oraz Merzig nad rzeką Saarą.

— Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało b. silnie Berlin za dnia.

— Wojska sowieckie zajęły Koto-brzeg.

— W Moskwie ogłoszono, że Gdańsk stoi w płomieniach.

Nowości lotnicze

Wielka Brytania po raz pierwszy od roku stała się przedmiotem ataku bombowców niemieckich. Równocześnie pojawiły się w prasie brytyjskiej ostrzeżenia, niewątpliwie czerpane ze źródeł oficjalnych, że należy spodziewać się jeszcze dalszych niespodzianek z powietrza.

Rzeczoznawcy określają podobne ataki jako akt niemieckiej rozpacz. Nie zaprzeczają, że tak być może. Nieraz wspominaliśmy na naszych łamach o możliwości owego "zatrzaśnięcia drzwi nad Europą", jak to mówił Goering dwa lata temu, grząc, że jeśli Alianci nie znajdą sposobu dościsnąć do porozumienia z Niemcami — to Niemcy, nim ulegną, pociągną za sobą w przepaść zniszczenia całe kraje. Leży to całkowicie w możliwościach duszy niemieckiej.

Zachodzi pytanie, czy Niemcy będą w stanie wykonać swą groźbę?

Jeśli chodzi o Wyspy Brytyjskie, Niemcy mogą je atakować na trzy sposoby: pociskami raketowymi V.2, z wielkiej odległości, pociskami latającymi a więc V.1, oraz zwyczajnie samolotami z pilotem i bez pilota. Baza wszystkich ataków, ze względu na zasięg każdej z tych trzech broni, jest Holandia i północno-zachodnie części Rzeszy. Jak długo przestrzeń między Zuidoostem a ujściem rzeki Elby są w rękach niemieckich, istnieją po stronie Niemców techniczne możliwości takich ataków.

Niemcy rozbudowują także wyrzutnie w górach południowej Norwegii, lecz czy są to wyrzutnie V.1, czy V.2, czy też jakiejś zupełnie nowej broni — nie wiadomo, przyszłość dopiero okaże. Jeżeli jednak chodzi o skuteczność użycia tych broni, to doświadczenie wykazało, że tylko w wypadku masowego użycia dają one pewne wyniki.

Gdyby Niemcy, tak jak to zamierzali uczynić, zaatakowali pewnego dnia Wielką Brytanię przy pomocy bomb latających V.1, na skalę 1000 pocisków dziennie, było by to poważnym zagrożeniem nie tylko Londynu i miast południowej Anglii, lecz także wszystkich przygotowań do inwazji. Plany te spełniły na niczym dzięki wykryciu tych zamiarów i energicznemu przeciwdziałaniu R.A.F.

Niemcy rozpoczęli swój atak na skalę mniejszą o 1/3 od zamierzonej pierwotnie, co umożliwiło zastosowanie takich środków obrony, że wyniki

ostateczne były znikome. Niebawem ataki ustały. Obecnie wznowiono je. W tej chwili Niemcy rozproszyli wysiłki: atakują ulepszone pociskami pld. Anglię, starszym zaś typem Belgie i Holandii, oraz niektóre centra francuskie za frontem. Wynik nie jest duży. Wprawdzie Niemcy zdołali ulepszyć swe wyrzutnie i spowodować, że są mniej dla alianckich lotników uchwytne, lecz trudności transportowe nie pozwalają im korzystać z tych ulepszeń w szerszym zakresie.

V.2 jest bronią bardzo efektywną. V.2., jak i inne pociski raketowe, są bardzo trudne do atakowania wprost. Wyrzutnie są bardzo małe i mogą być ustawione gdziekolwiek bądź. Ataki na te wyrzutnie nie doprowadziły by do żadnego celu. Wobec tego R.A.F. atakuje tylko główne składy pocisków, oraz drogi dowozu.

Dzięki tej taktyce, mimo pogroźek niemieckich, skala ataków nie zwiększa się; same zaś ataki nie wpływają ani na życie, ani na transport, ani na produkcję Wysp Bry-

tyjskich. Natomiast dają się odczuwać na kontynencie.

Powiedzieliśmy przedtem, że jak długo Niemcy siedzą w północnej Holandii i północno-zachodniej Rzeszy, tak długo istnieją techniczne możliwości ataków na Anglię czy Szkocję pociskami dalekodystansowymi. Jednak zarówno Holandia jak i te części Rzeszy, o których mowa, są przez bombardowania alianckie prawie dokładnie odcięte do innych części Rzeszy, gdzie produkuje się pociski i skąd je się przywozi. Zarówno V.1. jak i V.2. są pokaźnych rozmiarów i wymagają pojazdów o dużym tonażu. W wielkiej ilości można je przewozić tylko koleją. Tymczasem takie węzły kolejowe jak Essen, Dortmund, Hamm, Munster, Osnabrück, Hanover — są stale pod deszczem bomb alianckich. Już od dawna Niemcy zrezygnowali z zapatrywania swego frontu kolejją. Pozostaje im bardziej pewny transport kołowy, jednak transport ten ma swe ograniczenia w tonażu i paliwie.

Warto się także zastanowić nad niemieckimi możliwościami atakowania tutejszych Wysp przy pomocy samolotów. O ile można się zorientować w ogólnej sytuacji lotnictwa niemieckiego — w tej chwili jego lwa część jest na froncie wschodnim. Wynika to zresztą jasno z komunikatów niemieckich i rosyjskich. Na zachodzie Niemcy mają bardzo niewiele samolotów.

Prasa podała i rzeczoznawcy to potwierdzili, że ów atak z przed dwu tygodni był przeprowadzony przy pomocy zebranych resztek lotnictwa bombowego /Niemcy swe lotnictwo bombowe zlikwidowali w ostatnim półroczu, a resztę unieruchomili ze względu na brak paliwa/, oraz lotnictwa myśliwskiego dalekiego zasięgu.

Dlatego w liczbie 70 maszyn atakujących, znalazło się aż pięć typów samolotów niemieckich. Nie przypuszczamy, by Niemcy na nowo odbudowywali swe lotnictwo bombowe. Jest natomiast rzeczą możliwą, że po pewnych ulepszeniach samolotów

beźmigłowych o silnikach termicznych strumieniowych /tak zwane popularnie lotnictwo propulsyjne: jet propelled/ i zapewnieniu tym samolotom większego zasięgu, że właśnie samoloty zostaną użyte do ataków na Anglię.

Wiemy z prasy neutralnej, że Niemcy rozbudowują to lotnictwo. Między innymi typami mają także typ czterosiłnikowy, odpowiadający mniej więcej typowi bombowemu w staromodnym lotnictwie śmigłowym. Niemcy nie mogą używać swego lotnictwa propulsyjnego na froncie wschodnim, gdyż wymaga ono bardzo dużych i dobrze rozbudowanych bieżni. Dlatego będą się starali wykorzystać je na zachodzie.

Jeżeli chodzi o samoloty skombinowane z dwóch /po angielsku: "pick-a-back aircraft", lub jak je sami Niemcy nazywają: "Vater and Sohn" Flugzeuge/, to mimo iż używają jako samolotów-bomb typów starych to jednak użycie masowe tego rodzaju broni będzie połączone z dużymi trudnościami, nie mówiąc już o zasadniczej wadzie: dużej wrażliwości na ataki z ziemi i z powietrza.

Dlatego nie spodziewamy się, by ataki na Anglię i Szkocję mogły przybrać większe rozmiary. Niewątpliwie skierowanie wszystkich broni do jednego celu, mogłoby dać pewne wyniki, jednak nie wpłynę one zupełnie na wysiłek wojenny Anglii, mogą być natomiast bardzo przykre dla mieszkańców i kłopotliwe wskutek dalszych zniszczeń izb mieszkalnych, których brak odczuwa obywatel angielski coraz bardziej.

Ostatnio niepowodziło się Luftwaffe. Próby zniszczenia mostu na Renie koło Rentegen, skończyły się stratą kilkudziesięciu samolotów, poprzedni nalot na Londyn — stratami 20% stanu. Ostatnie zaś naloty myśliwców alianckich na lotniska niemieckie dały niecodziennie wyniki: tak n.p. na jednym tylko lotnisku na wschód od Kolonii w 20 min. 100 samolotów poszło z dymem.

Narzuca to Niemcom konieczność nęgłych uzupełnień swych jednostek i to na dużą skalę, w chwili, gdy możliwości uzupełnień są ograniczone, wobec zapotrzebowania dwu a nawet trzech frontów.

M. J. GORDON

Następny Wielkanocny /13-14/ numer "Polski Walczącej" ukaże się w zwiększonej objętości /12 stron/. Numer ten będzie doręczony w miejscach odbioru oraz pojawi się w miejscach sprzedaży w Wielką Srodę dnia 28 marca. Administracja zdołała uzyskać zwiększenie przydziału papieru na ten numer. Będzie więc mogła uwzględnić nowe zgłoszenia oraz zwiększyć kontyngent egzemplarzy przesyłanych poszczególnym jednostkom i instytucjom. Prosimy o możliwie szybkie, ewentualnie telegraficzne, zgłoszenia zapotrzebowania pod adresem Administracji: 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2, tel.: CHAncery 5505 albo 5506.

S. ✠ P.
JERZY ANDRZEJ MIELNICKI
z Warszawskiego Dyw. Myśliwskiego
zginął śmiercią lotnika 20 lutego prze-
żywszy lat 20.
Pogrzeb odbył się w dniu 26 lutego
1945 r. na cmentarzu lotniczym
w Northwood
o czym zawiadamiają
RODZICE

S. ✠ P.
CHORĄŻY MICHAŁ SZCZEPAŃSKI
odznaczony
Krzyżem Walecznych
szef "Baterii Śmierci"
niezrównany wychowawcą,
doskonały żołnierz i powszechnie
lubiany kolega.
Zmarł w szpitalu w Bruges
po ciężkich cierpieniach
w dniu 15.I.1945 r.
Dowódca, oficerowie, podo-
ficierowie i kanonierzy Puł-
ku Artylerii Samobieżnej

S. ✠ P.
ARTUR SUMIŃSKI
ppor. rez. W.P.
ur. 11.XI.1908 zmarł w szpi-
talu w Indiach jako oficer
wojsk bryt. dnia 25.XII.1944
o czym zawiadamiają
Koledzy

W 24-ą rocznicę plebiscytu śląskiego

"Lata znaczone są wiekami,
"Jak my się z wami mocujemy
"I mimo wasze groźby trwamy
"I wciąż jesteśmy, i będziemy.

"Więc niech was żadna myśl nie
mami,
"Że nas można zgnieść lub przekuć:
"Jak oje myśmy Polakami,
"I pozostaniem — po wiek wieków".

Edmund Osmańczyk,
poeta Śląska Opolskiego,
/ "Wolność jest słoneczna",
Opole 1937/.

Śląsk to kraj leżący w dorzeczu górnej i średniej Odry, w samym sercu Europy na styku obszarów narodowych: polskiego, czeskiego i niemieckiego. Dzięki swym bogactwom naturalnym, rozbudowanemu przemysłowi oraz znaczeniu strategicznemu, Śląsk jest jednym z kluczowych obszarów Europy środkowej.

Do wieku XIV-go należał Śląsk do Polski, po czym, w wyniku układów, wszedł w skład korony św. Wacława, by wraz z nią dostać się pod panowanie Habsburgów. Stan ten trwał do połowy wieku XVIII-go, gdy Fryderyk II wydał prowincję śląską Marii Teresie w wyniku dwóch wojen, znanych w historii pod nazwą wojen śląskich.

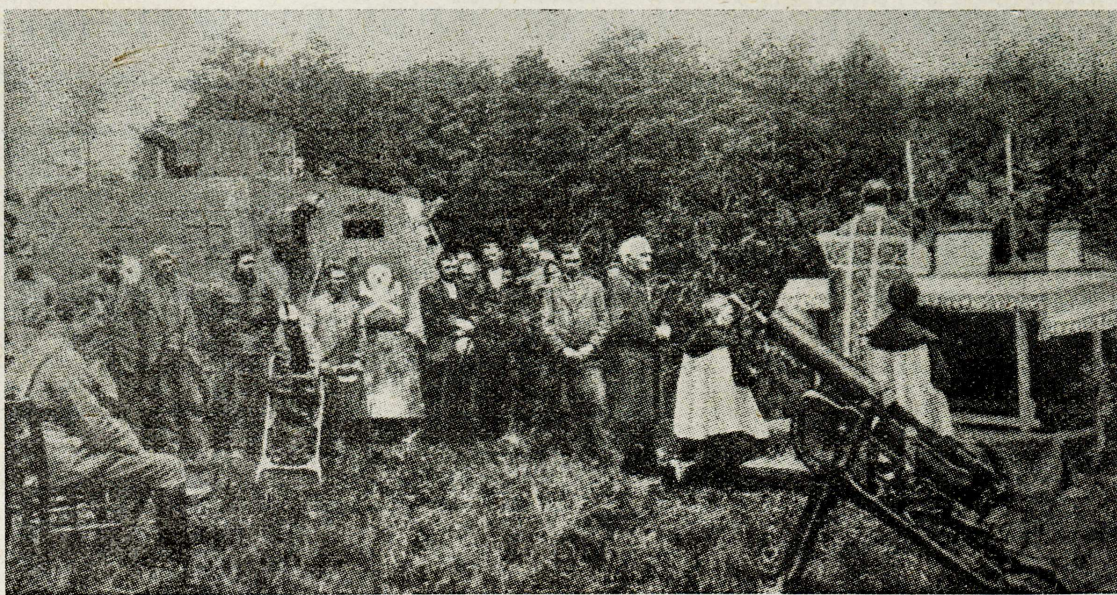
Od tej chwili to jest od roku 1742 ludność śląska, wówczas jeszcze na całym jego obszarze w większości polska, poddana została systematycznemu niemieczaniu poprzez szkołę, kościół i wojsko. Jednocześnie rozpoczęła się metodyczna a bezwzględna kolonizacja przez osadników sprowadzonych z głębi Prus. Odtąd, przez dwa wieki proces wynaradawiania prowadzony jest na Śląsku zmianami sposobami, lecz z nieustannie wzmagającą się zaciętością.

W ciągu XIX-go wieku Śląsk przechodzi głębokie zmiany tak pod względem narodowym, jak i społeczno-gospodarczym: germanizacja czyni szybkie postępy, z drugiej zaś strony rewolucja przemysłowa wysuwa zapomniany dotychczas rolniczy kraj nadodrzański na drugie miejsce w Rzeszy, tuż po zagłębiu nadreńsko-westfalskim. Równocześnie jednak, mniej więcej od roku 1848, poczyna się budzić wśród ludu śląskiego świadomość przynależności narodowej. Proces ten przybiera na sile pod koniec wieku XIX-go, zwłaszcza gdy w latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej na czele związków zawodowych staje Wojciech Korfanty, wielki przewodca i obrońca praw ludu śląskiego.

Ale sześć wieków obcego panowania a niemal dwieście lat systematycznego wyradawiania nie mogło pozostać bez śladu. To też, gdy w roku 1918, po klęsce Niemiec eksperci zebrani w Wersalu przystąpili do wykreślenia granicy polsko-niemieckiej, zdecydowali /7-go maja 1919 roku/ pozostawić przy Rzeszy cały Śląsk Dolny i Średni czyli Wrocławski. Natomiast po ułudniową część, czyli Śląsk Górny wraz z całą niemal jego połacią zachodnią, czyli Śląskiem Opolskim, zdecydowano oddać odradzającemu się Państwu Polskiemu. Tylko zachodnie skrawki rejencji opolskiej miało pozostawić przy Rzeszy, a część okręgu Raciborska /obszar Hulczyński/ przyznany został Czechosłowacji.

Jak się to stało, iż wbrew pierwotnemu postanowieniu twórców Traktatu Wersalskiego przyznania niemal całego Śląska Polsce, większa jego część pozostała nadal pod panowaniem niemieckim?...

Stało się to przy pomocy podstępny zwanego plebiscytem. Po zapoznaniu się z tekstem warunków pokojowych, Niemcy odpowiedzieli że szczególną gwałtownością na klauzule dotyczące Śląska i zaczęli używać wszelkich dostępnych im wpływów, by postanowienia te zmienić. Odpowiadając na notę niemiecką, utrzymaną w tonie wręcz prowokacyjnym, Alianci stwierdzili dnia 16 czerwca 1919 roku, iż: "stanowczo nie odpowiada prawdzie, że Polska nie może wysuwać roszczeń /do Śląska/, mających oparcie w zasadach proklamowanych przez Wilsona. W okręgach, które mają być odstąpione, większość ludności jest niezaprzeczalnie polska. Każde niemieckie opracowanie źródłowe, każdy podręcznik szkolny poucza niemieckie dzieci, że mieszkańcy tych okręgów są Polakami z pocho-



Msza święta powstańców śląskich

dzenia i mowy".

Pomimo tej noty, pod wpływem perswazji i argumentacji niemieckiej, popartej zdaniem Lloyd George'a, mocarstwa zmieniły pierwotną opinię i przechyliły się do myśli plebiscytu. Historyk brytyjski Temperley, w swym monumentalnym dziele p.t.: "Historia paryskiej konferencji pokojowej" /tom VI, strona 264/ pisze: "nie należy jednak ukrywać, że sprzeciw w sprawie plebiscytu były bardzo silne. Opierały się one na poglądzie, iż błędem jest robienie ustępstw Niemcom... i podkreślały szczególnie bezprawny nacisk, jaki księża i pastory, urzędnicy i nauczyciele, kapitaliści i dyrektorzy mogą wywierać na polskie masy pracujące".

Wbrew tym poglądom, wbrew dwu powstaniom, w których lud śląski własną swą krwią zamani-

festował wolę przyłączenia do Polski bez zastrzeżeń, dnia 20 marca 1921 roku, na obszarze Górnego Śląska przeprowadzono plebiscyt. Plebiscyt ten odbył się na obszarze o powierzchni 4.160 mil kw. zamieszkałym przez 1 milion 942 tysięcy ludności. Przeszło 70% tej ludności mówiło według ostatniej przedwojennej statystyki niemieckiej z r. 1910 językiem polskim jako ojczystym. Komisja międzynarodowa mająca czuwać nad sprawiedliwym przebiegiem plebiscytu, w praktyce sprawowała tylko rodzaj luźnej kontroli nad administracją pruską, pozostawioną na miejscu. Administracja ta pracowała ręką w rękę z niemieckimi organizacjami terrorystycznymi i bojówkami w rodzaju "Orgeschu" czy "Grenzschutzu". Terror niemiecki nie ustał pomimo oddania, po drugim powstaniu, które wy-

buch'o w sierpniu r. 1920, władzy policyjnej na obszarze plebiscytowym w ręce neutralne. Ofiarą tej działalności terrorystycznej padło przeszło 200 polskich działaczy plebiscytowych, wymordowanych przez Niemców, w wielu wypadkach przy użyciu metod, jakich nie powstydziliby się dzisiaj nawet Gestapo.

Obok terroru i nacisku czysto fizycznego działały jednak i inne przyczyny. W kraju, w którym 57% ziemi, a 98% własności przemysłowej znajdowało się w rękach niemieckich, wpływ warstw posiadających musiał z konieczności odgrywać rolę ogromną. Poza tym kler, tak katolicki, jak i protestancki w obu wypadkach w większości niemiecki, wywierał również poważny nacisk na wiernych w kierunku dla Polski nieprzychylnym. Do tych wszystkich przyczyn na-

leży dodać jeszcze dwa fakty: po pierwsze, pod wpływem perswazji niemieckich, włączono do obszaru plebiscytowego trzy okręgi, których Polska nigdy nie żądała, zwiększając tym samym ilość głosów niemieckich o 97 tysięcy. Po drugie, pozwolono na głosowanie osobom urodzonym na terenie Śląska, które wyemigrowały po roku 1904, otwierając tym drogę do wszelkiego rodzaju nadużyć. Administracja niemiecka w pełni wykorzystwała tę okazję. W rezultacie ze 192.000 emigrantów aż 182.000 głosowało za Niemcami.

Nie więc dziwnego, iż w tych warunkach nawet w kraju zamieszkałym przez ludność, której 74% mówiło po polsku, wynik plebiscytu musiał być dla Polski niekorzystny. Na jeden milion dwieście dwadzieścia tysięcy osób biorących udział w głosowaniu 707.000 opowiedziało się za Niemcami a 479.000 za Polską.

Po raz trzeci lud Śląski chwycił za broń, chcąc zapobiec krzywdzącemu podziałowi. Ale i trzecie powstanie, które wybuchło dnia 3 maja 1921 roku, nie zdołało odrobić wyników głosowania. Tak więc w wyniku farsy urągającej zasadom słuszności, zwanej plebiscytem, większa część Górnego Śląska a cała jego połać zachodnia — Śląsk Opolski — pozostała dalej pod panowaniem niemieckim. Polsce przypadł tylko skrawek.

Po plebiscyście i powstaniach położenie ludności polskiej pozostawionej pod panowaniem niemieckim, a liczącej 800.000 ludzi, było niezwykle ciężkie. Większa część przewódców powstania i działaczy plebiscytowych musiała uciec do Polski. Masy ogarnięte przynęceniem i depresją. Wkrótce jednak otrząśnięto się z odrętwienia i przystąpiono do pracy. W roku 1923 powstał Związek Polaków w Niemczech, centralna organizacja mająca na celu obronę praw całego społeczeństwa polskiego w Rzeszy. Śląsk Opolski wziął od początku energiczny udział w pracach Związku, tworząc w jego ramach jedną z pięciu dzielnic.

Rozpoczęła się żmudna działalność nad utrzymaniem polskiego szkolnictwa powszechnego, ochroną spółdzielni rolniczych, organizacji kościelnych i oszczędnościowych, kółek śpiewaczych i sportowych. Stworzono gimnazjum oraz internat dla chłopców w Bytomiu, burse akademicką we Wrocławiu, zbudowano liceum dla dziewcząt w Raciborzu. Co rok zaczęły wchodzić w życie nowe zespoły młodej inteligencji śląskiej, świadome przynależności do narodu polskiego. W Opolu powstał dobrze redagowany dziennik — "Nowiny Codzienne"; życie kulturalne Śląska zaczęło bić żywym tempem. Młody poeta, Edmund Osmańczyk, urodzony na Śląsku Opolskim, zdobył pierwszą nagrodę na konkursie poetów śląskich, zorganizowanym w grudniu 1937 r. w Katowicach, za tomik wierszy p.t. "Wolność jest słoneczna".

Zasady w myśl których pracował i walczył Związek Polaków w Niemczech a z nimi dzielnicą śląską wyrażone są w t.zw. "Pięciu prawdach Polaków w Niemczech":

Prawda pierwsza: jesteśmy Polakami.

Prawda druga: Polak Polakowi bratem.

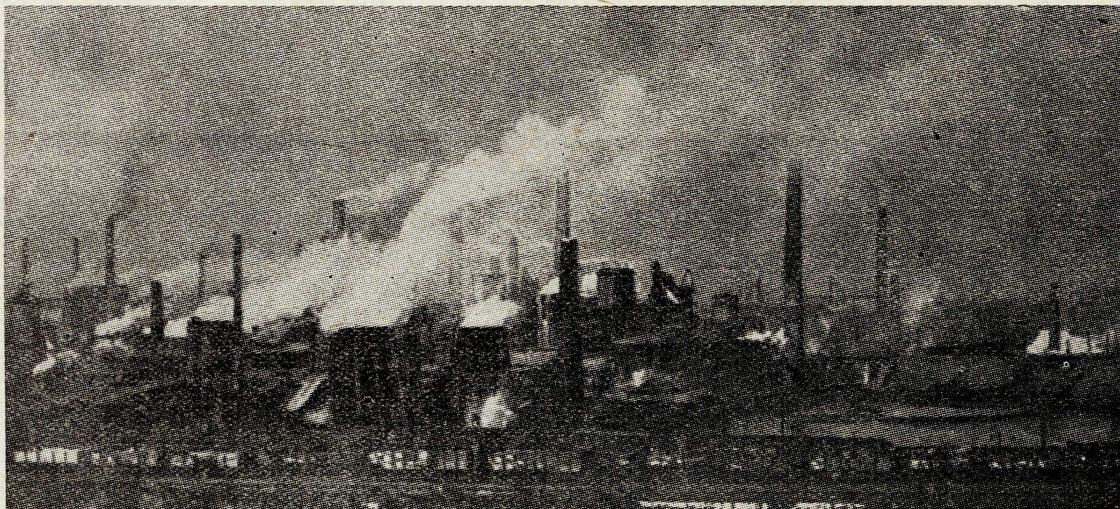
Prawda trzecia: Co dzień Polak Narodowi służy.

Prawda czwarta: Wiara ojców naszych jest wiara naszych dzieci.

Prawda piąta: Polska Matka nasza — o Matce nie wolno mówić źle.

Znakiem wyrażającym łączność całego społeczeństwa polskiego w Niemczech z narodem polskim jest znak "rodła", będący graficznym wyobrażeniem biegu Wisły z Krakowem, jako kolebką narodu Polskiego.

Znak "rodła" jest wyrazem woli tych Polaków połączenia się w jedno ze swą macierzą. Wola ta, która przetrwała 600 lat obcego panowania, 200 lat przesładowań i 5 lat obecnej próby wojennej, nabiera teraz nowej siły, gdy rozsypująca się w proch potęga niemiecka stwarza nowe możliwości trwałego i sprawiedliwego rozwiązania sprawy przyszłości Śląska Opolskiego.



Królewska Huta

L I P A

Pani Helenie Sikorskiej

Pytasz, czy pięknie w Polsce? Czy tam dnie gorące?
Chciałbym, moja córeczko, spojrzeć w polskie słońce,
Lecz bym z wyspy angielskiej do Polski przeskoczył
Musisz pomóc mi trochę: zamknę oba oczy,
Ty złóż na nich swe dłonie, przyciśnij powieki...
Tak... Już widzę... mgłę lśniąca niby wstęga rzeki,
Mgła ubiera się w zieleni, staje w drzew szeregach
I tka coś, co ma żółte kwiateczki po brzegach.
Obłok ściemniał, otężał, zaszumił, zaskrzypiał
Spójrz! To stoi wśród sadu zawieszista lipa!

Wokół błoga spokojność zastygła w krajobraz
Południem, odpoczynkiem i wytchnieniem Dobra.
Nie się jednak nie zmienia w krajach przeszłych czasów!
Tak samo tańczy mgielka u dalekich lasów,
Które ciepły horyzont czarnym sploty wieńcem.
Tak samo dźwięczą kosy i śpiewają żęńce,
Skrzypi żóraw studzienny spod bliskiej stodoły,
W szklanych dzwonach powietrza brzęczą mocno pszczoły...

Lipa, wplątana w jasność zastania się cieniem,
W cień upadają przebojem gorące promienie
I głaszczą macierzankę. Jeszcze w cieniu pusto,
Plamy słoneczne nęcą złocistą rozpustą,
Blade dusze Południe spłynęły na ziemię
I omdlały z rozkoszy. Gdzieś na drzewoskłoniu
Zadzwonił długim tryłem na dwunastą dzwonięc.
Na ten znak świat rozgrzany upalnego lata
Przybył wszystek pod lipę — do środka świata...

Może to będzie sarna, może pies, lis może?
Wyciągnie się, zdyszany na bok się po ozy
By odpocząć pod skrzydłem liściastego dachu
I zniknie świat dla świata w lipowym zapachu...
Ten świat wróci do ciebie poszumem i wonią.
Lecz nie do mnie... mój przepadł... mój we śnie utonął...

MIECZYSLAW LISIEWICZ

M. K. DZIEWANOWSKI

Gdy „spokojny” front hałasuje...

(Korespondencja własna „Polski Walczącej”)

Front włoski, luty 1945

Głośny okrzyk: — „Uważaj, łazło jedna, bo cię z mamra nie wypuszcze...” — łazik zarzuca w prawo, niemal że uderza w ścianę domu i nagle znów wyprostowany długim susem skacze naprzód. „On” już nas nie dogoni. Został ze swoim gniewem, nawiasem mówiąc jak najbardziej uzasadnionym, z poharatanym motocyklem, no i z wysoką godnością żandarma w służbie. W każdym razie opuszczamy m.p. dywizji „Kresowej” nie bez przyczyn: mocno stuknięty pies szefa sztabu, muśnięty nie najgorzej błotnik wozu z dowództwa armii i na końcu ten żandarm.

— Ta pan sam jest świadkiem, że nie było w tym mojej winy — tłumaczy się kierowca. — Mieścina, można powiedzieć, parszywieńka, wozów masa i jak tu przejechać bez wypadku?

Kiwam potakując głową i zgadzam się ze wszystkim, za wyjątkiem tego psa. Zawsze lubiłem zwierzęta. Co zaś do żandarma... Sporo protokołów zrobili mi w mojej wojskowej karierze żandarmi. Sam rozumiesz Drogi a Wojskowy Czytelniku...

Dzień jest jasny i słoneczny. Słońce załamuje się na niepokalanej biele śnieżnej zboczy górskich i odbija się w przelicznych sadzawkach, które potworzyły się na wyboistej i nieprzystępnej zniszczonej drodze. Jest zima i wiosna równocześnie. Zima na górze, błotnista, lepka wiosna pod kołami łazika. Błoto szmerze i przewala się w koleinach, woda pryska z wigorem, ochlapuje cały wóz i jego pasażerów.

Już po pierwszym zakręcie wyłaniają się tablice ostrzegawcze: „Droga pod obserwacją nieprzyjaciela”, „Droga pod ostrzałem”. Na topniejącym śniegu po bokach widać duże, czarne plamy. Wygląda tak, jakby ktoś ten śnieg oсыpał sadzą i popiołem. Tak właśnie posypywano w dniach zimy ulice w miasteczkach wschodniej Polski, aby ustrzec ludzi przed gołodem. Plam tych jest sporo i im dalej jedziemy, tym ich ilość się pomnaża. Droga istotnie jest pod ostrzałem. Nie tylko widzimy ślady tego ostrzału: oto nagle gwizd pocisk nad nami i zarywa się o jakieś sto metrów na stoku góry. Nie ma rady, trzeba wziąć dobry gaz i przejechać jak najszybciej przez ten niewygodny odcinek.

— Drganie wszystko widzą — mruczy kierowca. — Ja już znam tę drogę. Ile razy pokaże się choć jeden wóz, to zaraz wala. Że też, cholero, amunicji nie zabraknie.

„Cholero” amunicji nie zabraknie na pewno, natomiast my musimy zwolnić tempo jazdy. Oto przed nami pełznie leniwo trzytonówka, obciążona aż po dach jakimiś pakami. Wdzięczne kolebie się z boku na bok i wlece się, jak na wygodnym spacerze w Szkocji. Usiłujemy ją parę razy wyminąć, ale jest to zupełnie niemożliwe. Wąska droga stała się jeszcze węższa, z prawej strony mamy strome, prostopadłe zbocze górskie, z lewej ziemia urywa się nad przepaścią. Kłniemy i Niemców i trzytonówkę. Niemcom nasze zły myśli o nich zapewne nie przeszkadza, bo ogień artylerii wzmacnia się, a pociski są coraz bliższe. Natomiast trzytonówka nagle staje. Koła wpadły w głębszą koleinę.

Trrrrach... — warczy motor. Na nic. Wóz ugrzązł na dobre. Wyłazimy z naszego łazika, pasażerowie dalszych łazików też przyszlizli. Zaczyna się skomplikowany zabieg wyciągania ciężarów. Idą w ruch łańcuchy. Jesteśmy wszyscy obrzygani błotem tak, że nam oczu nie widać, artyleria niemiecka wali z dzikim entuzjazmem. W końcu zostawiamy pchowoy wóz i zwiózamy z powrotem. Najwyższy czas: zaledwie dobiegliśmy do zakrętu, dwa nareszcie celne pociski zapalają trzy-tonówkę.

— Macie trochę szczęścia — odwracam się do dwuosobowej załogi pchowego wozu, którą przygarneiliśmy na nasz łazik.

— Papierosy tam byli — mruczy z zalem jeden z nich.

Oczywiście, szkoda papierosów. Ale bardziej jeszcze w tej chwili żałuję drogi, którą straciliśmy. Awanturujemy się teraz po jakichś wertepach już zupełnie niewiarygodnych. Zjeżdżamy w dół

nieomal pod kątem prostym. Żołędek skacze i podchodzi pod samo gardło. Całe ciało jest narażone na ciągły, a dotkliwy kontakt z metalowymi częściami wozu. Ale za to ta bardzo niekomfortowa serpenetyka ma dużą zaletę: nie jest pod obserwacją i po poprzednich paru kwadransach artyleryjskich popisów nieprzyjaciela, pozwala na lekkie odprężenie.

Jesteśmy już w samej kotlinie. Co kilkanaście metrów mijamy spore kupki kamieni i gruzu: tu była wioska. Ludność tej wioski, a także i nasze wojsko mieszka w jaskiniach. Zatrzymuje wóz i wlażę do jednego takiego skalnego legowiska. Ciemno, trochę słono pod ścianami, sporo koców. Małe ognisko przy wejściu kopci i dymi straszliwie.

— Ii, do wszystkiego można się przyzwyczaić, proszę pana — macha lekceważąco ręką sierżant na moje wyrazy ubolewania. — Wiadomo ciężko, ale za to jest trochę spokoju. Odpoczywamy.

Istotnie wojsko czyści broń, ktoś inny z zapalem pucuje buty. — To na przepustkę — objaśnia sierżant. — W B. wyświetlają dzisiaj film, niech się chłopaki przewietrzą.

„Chłopaki” jednak, jak na film zbyt starannie się czeszą i wkładają krawaty. Widocznie wierzą, że *signoriny* też zainteresują się popisami „Dziesiątej Muzy” w przyfrontowym miasteczku.

Jedziemy dalej. Mijamy most — nie „bailey”, prawdziwy most — którego Niemcy nie zdążyli zniszczyć i zajeżdżamy z fantazją przed punkt dowodzenia jednego z batalionów.

— Eee, ma pan jeszcze dużo czasu — mówi mi na punkcie dowodzenia zastępca dowódcy batalio-

ni kłęczach i obietnicach, aczkolwiek z dużą niechęcią, kapitan zgadza się, abym poszedł teraz i nie czekał na nadejście nocy, bo, przecież, istotnie nie w nocy nie zobaczę.

Ruszam zatem w drogę z Adamem Chruściel, przedsiębiorczym fotografem Dywizji Kresowej. Tematów do zdjęć jest pełno. Wojsko naprawia drogę. Samoloty znówu rzucają ułotki na nas, zamiast na Niemców. Tu i ówdzie okopują moździerze na nowych stanowiskach i Chruściel prosi o parę odpaleń.

Potem wspinamy się pod górę w śniegu po kolana. Słońce i śnieg oślepiają. Jest bardzo jasno i bardzo beztrošno. Nic nie przypomina wojny, bo nawet moździerze ucichły, a niemieccy artylerzyści poszli zapewne na obiad, jako że jest po temu odpowiednia pora. Im wyżej jednak, tym radość się zmniejsza. Góra staje się coraz bardziej prostopadła i wciąż nie ma końca.

Z szacunkiem myślę o ludziach, którzy co noc lażą tędy, tam i z powrotem. Nie tylko lażą, ale i przenoszą ciężary: żywność, wodę, amunicję. A takich gór, wysuniętych stanowisk i punktów obserwacyjnych jest przecież sporo. Dziesiątki, nie — setki ludzi nocą spędza na górskich wędrowkach. To się nazywa służba i wojna bez efektu. Kulisy wojny, jej — żeby tak powiedzieć — schody kuchenne, o których ludzie siedzący wygodnie z dala od frontów nie wiedzą.

Wreszcie wczolgujemy się na szczyt. Góra kończy się owalną i otwartą przestrzenią, na której skraju, o jakieś dwadzieścia metrów od nas wynurzają się ze śniegu osmalone ściany i krokwie zabudowań. Punkt obserwacyjny.

i ogarniam wzrokiem przestrzeń. Całą „ziemię niczyją”. Cały pas, który odgradza nasze stanowiska od niemieckich.

Jest to duża kotlina i wygląda jak dno miednicy. Dokoła góry, w środku płaszczyna, przecięta wąską, nieregularną, błyszczącą w tej chwili słońcem linią rzeki. Z gór spadają ku kotlinie, jak zielone chodniki różnorodnego kształtu i różnej wielkości długie języki łasków, gajów, zarośli. Na dnie doliny widzę parę folwarków, a nad samą rzeką rozłożyła się nawet górską niewielką wieś. W tej chwili to wszystko robi wrażenie makiety filmowej. Dekorację skończono robić, teraz czas tylko na aktorów. Bezruch i bezwład na przedpolu jest kompletny, przez tę ciszę i zupełny brak jakiegokolwiek ruchu cała „ziemia niczyja” wygląda bardziej jak stół plastyczny, niż jak rzeczywisty teren rzeczywistego frontu.

Na tamtym brzegu miski, na zboczach gór, wyrasta miasto. Typowe miasto włoskie, o charakterystycznym budownictwie; a więc domy budowane terasowo jeden nad drugim, a więc wąskie i kręte uliczki, a więc dziwna linia dachów, które razem tworzą schody ogromnych rozmiarów, ginące gdzieś w błękitnej dali widnokręgu. W mieście też nie ma żadnego ruchu. Mogę obserwować dokładnie główną ulicę, na której stoją jakieś wozy.

— Który domek pan woli? — pyta podchorąży G., obserwator moździerzy.

Nie rozumiem pytania i muszę mieć naprawdę zdziwioną minę, bo obaj obserwatorzy uśmiechają się złośliwie.

— No — niecierpliwi się por. U. — w jaki domeczek pan chce, że-

chałupy.

A „chałupa” na naszych oczach przestaje istnieć. Rozłazi się w zmiotym nagle powietrzu wraz z dymami po wybuchach pocisków. Obok niej przestają istnieć inne. Cała część miasta odbywa dziki taniec ku górze, a później wali się na ziemię. Trwa to minuty, potem kwadrans. Celnie położony ogień artylerii i moździerzy przesuwają się z wolna, lecz konsekwentnie z prawego skrzydła miasta na centrum, owijają to centrum ruchem dookołnym i grzmoci z ponurą nieustępliwością. Ogień taki musi dać rezultaty — widzimy jak z zakamarków i domów wysuwają się drobne punkciki i szybkim truchtem uciekają do tyłu. Wykurzamy Niemców z miasta!

Nagle w środku wybuch ogromny płomień, bez porównania większy od dotychczasowych. Musieliśmy trafić jakąś amunicją, gdyż wybuchy teraz idą jedne za drugimi całymi seriami. Miasto pali się i oto już nie ma pojedynczych czarnych obłoczków, ale jedna wielka chmura, snująca się nad dachami i zamykająca przed nami cały horyzont. Nawet obserwatorzy są zdziwieni.

— Oplaca się wam gościnność, co? — mówię chełpliwie.

Ale nie ma czasu na radość. Przez telefon idą dalsze, szybkie rozkazy. Trzeba okazać wykorzystanie do końca. I już z lewej strony miasta zaczyna się inna nawała. Nawala również idzie na przedpole, które nagle się ożywia. Z folwarku, rozsiadłego nad rzeką uciekają ludzie, z zarośli tuż przed samym miasteczkiem wyrwywają wozy: cały niemiecki odcinek frontu rusza się i wycofuje, nie — po prostu ucieka, ucieka obłądnie do tyłu.

Już nic nie widać. Jest tylko jeden duży obłok dymu i długie, wąskie pasy płomieni. Schodzimy z punktu obserwacyjnego, natychmiast nagabywani przez starszego strzelca F.:

— Już panowie napatrzywszy się, taj dosyć. Należniki ostygłszy na kamień.

Należniki są świetne i wcale nie „ostygłszy”. Pomimo, że zasadniczo jesteśmy po obiedzie, konsumujemy nieprzemyślane ilości tych należników, a potem, zupełnie bez sensu, zażeramy się kiebasą.

— Prawdziwa wileńska — zachwala st. strz. F.

Nie dane jest nam jednak zjeść tę kiebasę do końca. Gwałtownie jakiś pocisk ląduje na naszym szczycie i szopa trzeszczy niepokojąco.

— Czyżby nasi nie dopasowali tym razem? — dziwi się podchorąży.

Dopasowali dobrze, ale nie nasi. Ta góra, góry sąsiednie, dolina za nami, gdzie znajduje się punkt dowodzenia batalionu, wszystkie drogi dokoła, słowem tym razem my, tym razem nasze stanowiska i komunikacje trafiają pod ogień. Niemcy otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia i rozpoczynają odwet. Nie mają jednak biedacy szczęścia, może też dlatego, że nie mają tak ładnego obiektu, jak my, w postaci ich miasta...

... Na punkt dowodzenia batalionu wróciłem późnym wieczorem. Była już cisza z naszej strony i z ich, ale w uszach wciąż jęczały odgłosy eksplozji.

— Ładny, spokojny front — myślę ze złością — człowiek pozbić się nie może od tego hałasu.

Przed punktem dowodzenia zastają małe grupki żołnierzy ubranych w długie, białe chałupy: za chwilę patrol wyjdą w teren. Po głośnych pojedynkach artylerii i moździerzy, przyjdą spotkania na mniejszą skalę. Rozszczekają się jazgotliwym ujadaniem karabinów maszynowych. Roztrzeszczą się kibicowato *Steny*. Jeńcy opiszą nam dokładnie, jak się czuli w miasteczku pod symfonią naszych pocisków.

Inne patrole pójdą w ciszy i będą unikały spotkań: ich zadaniem będzie minowanie przedpola i zastawianie pułapek.

A jutro oficjalny komunikat opisać to zwięźle i treściwie: „Na odcinku Drugiego Korpusu sytuacja bez zmian. Ogień artylerii i akcja patroli”.

Prawda, jakie to nudne, Drogi Czytelniku?

MAREK ŚWIECICKI



fotografował Adam Chruściel

nu. — Pocóż tak zaraz od razu iść na punkt obserwacyjny? Posiedźmy, pogadamy.

— Wolałbym jednak pójść teraz, panie kapitanie — upieram się.

Kapitan jest wyraźnie zakłopotany. Nie wypada mu tak prosto z mostu nawymyślać ledwo co przybyłemu gościowi, szczególnie że w „Kresowej” gościnność jest rzeczą świętą, z drugiej jednak znówu strony byłby niemal szczęśliwy, gdyby nie obstawał przy swoich planach.

— Bo widzi pan — tłumaczy — samo wejście pod górę, na której jest punkt obserwacyjny to nic. Najwyżej się pan zmacha, bo góra wysoka. Ale stok jest całkowiec zakryty przed obserwacją nieprzyjaciela. Bieda jest dopiero na wierzchu, gdzie trzeba przebiec ładnych kilkanaście metrów na kompletnie odkrytej przestrzeni. Szwały wszystko widzą i broń Boże jeszcze zauważą...

Jestem wzruszony troskliwością kapitana o całość mojej osoby. Zapewniam go, że nic mi się nie stanie, bo ja mam szczęście. On jednak otwiera ze zdumienia szeroko oczy.

— Panie złoty, mnie o pana wcale nie chodzi. Jak pan przedko biega, to oni i tak nie nie zrobią. Ale zauważa, łachudry, że tam ktoś się włóczy. A jak zauważa, to będą łupić, bo przecież durniami nie są i domyślą się, że tam jest nasz punkt obserwacyjny.

W końcu jednak, po różnych za-

Kulimy się, sprężamy się w sobie i jak dwa niewprawną ręką z kieskiej procy wypuszczone kamienie podskakujemy naprzód. Chyba nie zdążyli nas zauważyć, bo nie strzelili ani razu.

Punkt obserwacyjny jest właściwie duża szopa bez dachu, o paralitycznie powykrywianych ścianach. Pracowicie pogłębiono szopę, wyrzucając ładny kawałek ziemi, zmarniętej na kamień, na zewnątrz. Pościągano słomę, na której teraz leżą spiwoży i koce, ustawiono dwa miniaturowe piecyki po środku i w tym wszystkim się mieszka.

— Nie jest tak źle — stwierdza por. Stanisław U., obserwator artyleryjski — szczególnie dzisiaj, kiedy mamy tak ładną pogodę. Gorzej się dzieje, gdy pada śnieg, bo, jak pan widzi, dachu ani śladu.

Poprzez jakieś śpiące postacie, poprzez tak ciasną dziurę w murze, że, zdawałoby się, jamnika się przez nią nie przesadzi — przelazimy na drugą stronę szopy. Jesteśmy w małym sześcianie kamiennej przybudówki i pakujemy ciekawe twarze w niewielki prostokąt, skąd widać całe przedpole.

— Hej, hej, mili goście — zżyma się por. U. — Nie za blisko, bo zauważa. I proszę nie palić papierosów, gdyż taki dymek wyłazi na zewnątrz, a „oni” też mają lornety.

Opieram więc moją lornetę na krawędzi prostokątnego otworu

byśmy rąbnęli? Może w tę grupkę czerwonych, albo znówu w tę żółtą? Różnicy nie ma żadnej, bo wszędzie są Niemcy.

Po dłuższym wpatrywaniu się, wybieram dużą, bezbarwną kamienicę, wiszącą na zboczu, trochę ponad miastem.

— Ma pan dobry gust — chwali mnie podchorąży. — Według naszych przewidywań znajduje się tam dowództwo.

Obaj obserwatorzy odchodzą do telefonów. Szybko padają określenia i dokładne oznaczenia „mego” obiektu. Przy okazji niejako obserwatorzy dodają jeszcze inne punkty. Jak zabawa, to zabawa.

Położymy ładny ogienek na miasteczku — mówi pieszczotliwie podchorąży, stając znów koło mnie. — Już dawno nie daliśmy „im” dobrej szkoly. Mieli odpowiedź prawie dwunastogodzinny. Niech się teraz pomartwią.

Znówu przykładam lornetkę do oczu. Z tyłu za nami słychać przytłumiony huk, po nim drugi, trzeci, dziesiąty. Wstrząsy idą falami i falami idzie świst pocisków. Wydaje się, że ziemia drga i drga na pewno powietrze. Potem przeciągłe gwizdy nad głową — to wędrują pociski. Wreszcie — „mój” dom otula niewielka, czarna mgiełka. Wyrastają za nią kolejno słup dymów, w górę lecą kamienie, belki i gruz.

— Przyniósł nam pan szczęście — stwierdza ppor. U. — Jeszcze nigdy tak ładnie nie trafiliśmy tej

MacArthur wraca na Filipiny

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

II. Filipiny — wyspa chrześcijaństwa na Dalekim Wschodzie



Partyzanci filipińscy walczący przeciw Japończykom

M.p. lutu 1945

Gdy opisuję przebieg walk na odległych i tak mało znanych połaciach Azji i Pacyfiku, nie czuję potrzeby wdawania się zbyt szczegółowo w historię i opis kraju, w którym i o który walki się toczą. Cóż zresztą ciekawego można by napisać o historii, dajmy na to Papui lub Holenderskiej Nowej Gwinei? Nie warto — sądę — wspominać awantury, jaką na Konferencji Wersalskiej urządził malowniczy premier Australii prezydentowi Wilsonowi o terytoria pobliskie, przewidując już wtedy japońskie niebezpieczeństwo.

Wydaje mi się jednak, iż zupełnie inaczej rzecz wygląda, gdy zajmujemy się krajem tak innym od reszty pobliskich terenów, jak Filipiny. Filipiny, kraj, w którym — jak nigdzie indziej — zmieszały się kultury Chin, Malajów i inne, zanim opanowała je chrześcijańska i feudalna kultura Hiszpanii, by z kolei ustąpić na rzecz zachodniej kultury i cywilizacji amerykańskiej. Dlatego ta osobliwa mieszanina ras i kultur, religii i cywilizacji stworzyła naród zupełnie inny od reszty Azji, do czego zresztą przyczyniła się ponadto wyjątkowa polityka kolonialna demokracji amerykańskiej.

Rasowy skład ludności archipelagu obejmuje rozmaite typy od murzyńskich /lub pokrewnych/ do mongolskich z całą gamą mieszanców, mających w sobie krew chińską, hiszpańską, meksykańską i wreszcie amerykańską. Bardzo znaczna część przodujących Filipinczyków należy do "mestizos" — mieszanców, co zresztą nie powoduje dla nich żadnych ograniczeń /m.in. obecny prezydent Osmena jest mieszancem chińsko-filipińskim/.

W okresie między dwunastym a piętnastym wiekiem wpływ państwa hindusko-malajskiego na Sumatrze usunięty został na korzyść imperium buddyjsko-jawajskiego. Niedługo potem fala ekspansji arabskiej opanowała południowe wyspy archipelagu, jak Sulu i Mindanao i posuwała się ku północy, gdzie starła się z wpływami hiszpańskimi. Hiszpanie po raz pierwszy odwiedzili Filipiny w roku 1521, zaś usadobili się na dobre w kilkadziesiąt lat później.

Przez trzy wieki kolonizacji hiszpańskiej wszelkie prace kolonizatorów miały na celu bogacenie kraju macierzystego i urzędników kolonialnych, zaś w zakresie kulturalnym — szerzenie religii katolickiej. Dopiero w siedemnastym stuleciu założyli Hiszpanie szkoły i uczelnie wyższe, niektóre z nich osiągnęły wysoki poziom i istnieją nadal. Hiszpanom udało się rozciągnąć swą władzę nad krajem, w którym nie istniała wówczas jakakolwiek świadomość spójni narodowej. Jedynymi szczepa-

mi, które pozostały poza wpływami hiszpańskimi byli Morosi /mahometanie/ na południowych wyspach oraz poganie w górach Luzonu i na Mindanao. Cele swoje osiągnęli Hiszpanie nie tylko przez aparat polityczny, ale też w dużym stopniu przez misjonarzy katolickich. Chrześcijaństwo przeżyło w tym azjatyckim kraju wiele powstań przeciw władzy Hiszpanii, a nawet kilka przeciw Kościołowi. Ostatni spis ludności, przeprowadzony w 1939 roku ustalił liczbę chrześcijan na Filipinach na 91% / w tym 79% katolików i 10% Aglipayanów, wyznawców rodzaju kościoła narodowego z zachowaniem form Kościoła katolickiego/.

Mimo, iż jest ogólnie przyjętym zwyczajem bagatelizowanie roli kolonizatorów hiszpańskich na Filipinach, Amerykanie sami przyznają, iż wpływy kulturalne Hiszpanii przeniknęły głęboko we wszystkie warstwy ludności. Hiszpania wprowadziła na wyspach cywilne prawo rzymskie, religię, kulturę i język jednego z najbardziej wówczas rozwiniętych narodów Europy Zachodniej. Przez małżeństwa mieszane pozostawili Hiszpanie kilkaset tysięcy mieszanców, którzy należą do elity umysłowej kraju.

Mimo wielu dobrodziejstw kulturalnych i cywilizacyjnych Hiszpanie nie zdołali zapewnić sobie lojalności i przywiązania Filipinczyków. Wysokie podatki, arbitralne rządy mające przede wszystkim na celu wzbogacenie urzędników administracji hiszpańskiej i miejscowej arystokracji, wywoływały stałe niepokoje i zaburzenia. Wreszcie w 1896 roku wybuchło powstanie przeciwko Hiszpanom pod wodzą wielkiego Filipinczyka i pierwszego bohatera narodowego Jose Rizal. Patrioci filipińscy zaatakowali garnizony hiszpańskie i powszechna walka na wielu wyspach archipelagu rozgorzała na dobre.

Walka przeciągała się dość długo bez wyniku, gdy rozpoczęła się wojna hiszpańsko-amerykańska. Flota admirała Dewey'a rozbiła flotę hiszpańską i zajęła Manilę. W Traktacie Paryskim z r. 1898 Hiszpania rzekła się prawa do Filipin, jednakże dopiero w trzy lata później przewodca powstańców Aguinaldo pojmany został przez Amerykanów i zgodził się złożyć przysięgę lojalności wobec Stanów Zjednoczonych.

Podstawowe zasady polityki i postępowania władz amerykańskich na wyspach filipińskich ustalone zostały w instrukcji prezydenta McKinley'a z 1900 roku. Wtedy, gdy żadne mocarstwo kolonialne nie bawiło się /przynajmniej na terenie posiadłości, zamieszkałych przez kolorową ludność/ w demokrację czy samorząd — Stany Zjednoczone od początku

swego panowania na Filipinach przyjęły dwie wytyczne: dążyć do tego, by Filipiny były rządzone dobrze i by były szybko przygotowane do samorządu. Już w najwcześniejszych aktach władzy ustawodawczej i wykonawczej Stanów Zjednoczonych podkreślono wyraźnie postanowienie nienadawania obywatelstwa Stanów Zjednoczonych mieszkańcom wysp oraz brak zamiaru ze strony metropolii do utrwalania na stałe swej władzy na wyspach.

W najogólniejszych zarysach okresu panowania amerykańskiego na wyspach podzielić można na następujące etapy:

1. Okres władzy wojskowej i powstania Aguinaldo, w czasie którego założono wiele szkół, wprowadzono szereg praw i dokonano reform zdrowotnych.

2. Przejście od władzy wojskowej do cywilnej, w czasie której Prezydent Stanów Zjednoczonych powołał do życia Komisję Filipińską, jako ciało doradcze. W tym czasie założono ok. 5000 szkół, wprowadzono nowy system sądowy i monetarny, dokonano spisu ludności i rozpoczęto planowe roboty publiczne.

3. W czasie od 1907 do 1915 wprowadzono Zgromadzenie Filipińskie, pochodzące z wyborów jako Izbę niższą, zaś mianowana Komisja stała się Izbą wyższą. W tym okresie prowadzono nadal rozległe prace rozwojowe, roboty publiczne, rozszerzano sieć komunikacyjną i t.d.

4. Prezydent Wilson zamiano-

wał Komisję Filipińską, złożoną w większości z tubylców w 1915 roku, rozpoczynając tym samym erę "filipinizacji" kraju. Rok później ustawa Jones'a zastąpiła Komisję przez Senat, oddając w ten sposób w adę ustawodawczą w ręce ludności miejscowej — z pewnymi ograniczeniami — z rzecz Generalnego Gubernatora i Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wzrost funkcji administracyjnych spowodował oczywiście zwiększenie liczby urzędników, co zostało wykorzystane przez władze amerykańskie, do zwiększenia ilości urzędników miejscowych. W 1921 roku Amerykanie stanowili 4% urzędników. Stosunek procentowy Filipinczyków w samorządzie miejscowym wynosił niemal od początku ok. 99%.

Na samym prawie początku pierwszej kadencji Roosevelta Kongres St. Zjednoczonych przeprowadził ustawę, nadającą Filipinom niepodległość. Niepodległość miała się stać pełną dnia 4 lipca 1946 roku, ostatnio zaś data jej została przesunięta na dzień całkowitego wyzwolenia spod okupacji japońskiej.

W pierwszych wyborach prezydenckich Manuel Quezon wybrany został prezydentem, zaś główny jego rywal — Sergio Osmena — wiceprezydentem Republiki.

Nawałnica wojenna, która 7 grudnia 1941 roku uderzyła o brzegi archipelagu przerwała pokojowy rozwój Filipin. Tajne przenikanie Japończyków trwało już od dość dawna, tak że gdy chmury

zaczęły nadciągać — prezydent Roosevelt mianował byłego Szefa Sztabu Generalnego Armii Amerykańskiej, generała MacArthura dowódcą Armii Amerykańskiej na Dalekim Wschodzie. W owym czasie generał MacArthur zajmował stanowisko doradcy wojskowego rządu filipińskiego w stopniu marszałka armii filipińskiej. Powołany ponownie do czynnej służby wojskowej przystąpił on natychmiast do reorganizacji armii i wzmacniania stanowisk obronnych. Jak beznadziejne to było — widzimy dopiero teraz. Mimo to oddziały amerykańskie i filipińskie wytrwały w bohaterskiej obronie półwyspu Bataan a potem twierdzy Corregidor do 6 maja 1942 roku, zaś w mniej dostępnych okolicach kraju uformowały się amerykańsko-filipińskie grupy partyzanckie, które w znacznej mierze pomogły w przygotowaniach i przeprowadzeniu obecnych zwycięskich operacji wojskowych.

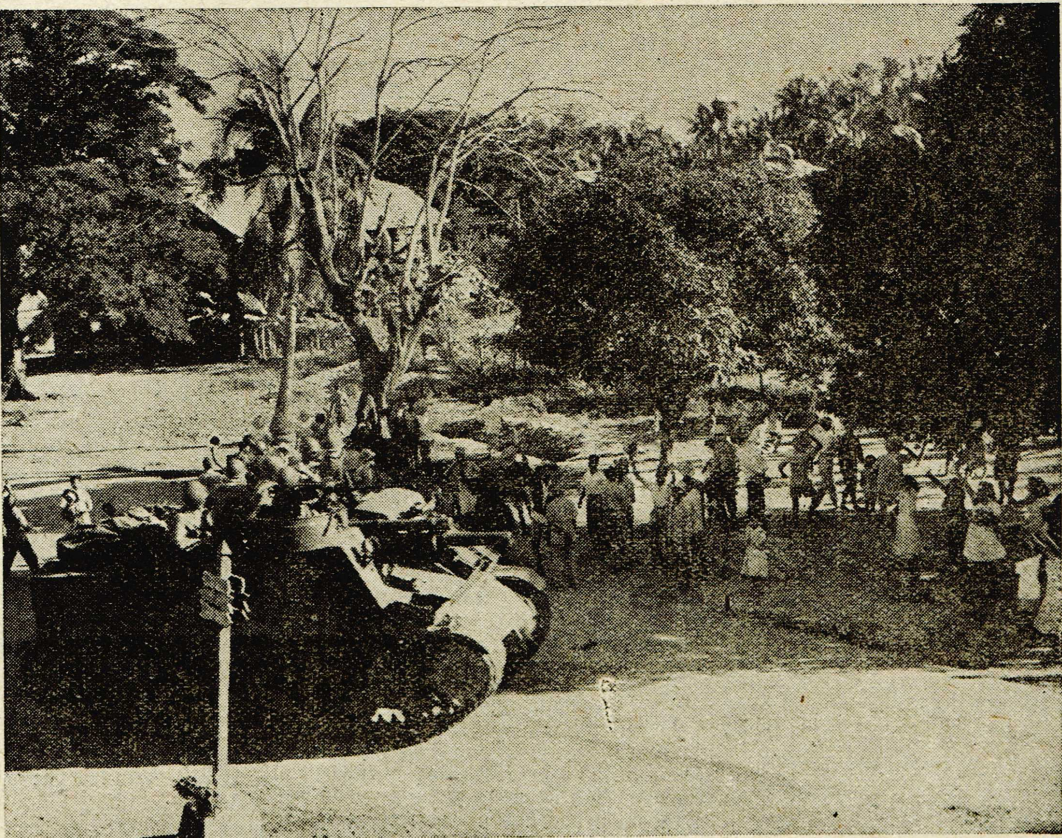
Mimo, iż w Manili powstał rząd Quislingowski z udziałem wybitnych Filipinczyków, rząd na wygnaniu pod przewodnictwem prezydenta Quezona, a po jego śmierci prezydenta Osmeny funkcjonował w Waszyngtonie przygotowując się do objęcia władzy i przeprowadzenia wszystkich reform, związanych z uzyskaniem zupełnej niepodległości kraju.

Pod tym względem przynajmniej Filipinczycy mają szczęście...

RYSZARD KRYGIER



Pierwszy "laził" amerykański na ziemi Filipin



Czołg amerykański na jednej z wysp filipińskich: Luzon

Drzewa bystockiego parku

Taksówka z Exmouth po 15 minutach jazdy przez malowniczą okolicę, pełną schludnych domków i ogrodów, mija bramę i wjeżdża w ogromny park Bystocku.

Nie lubię sztucznych parków. Strzyżone drzewa robią na mnie tak samo przykre wrażenie, jak widok tresowanych zwierząt w cyrku. Większa część parku w Bystocku jest parkiem naturalnym, półlasem w ściwie. Kwiaty wyrastają tu "po bożemu" — z trawy, drzewa rosną, jak się im podoba i dlatego są takie piękne.

Mam specjalny sentyment do drzew. Drzewa mają dla mnie zawsze coś ludzkiego. Każde z nich ma swój charakter, swój sposób "bycia" — czasem bardziej ludzki, niż ludzie sami. Parafrazując czyjeś mądre, choć gorzkie powiedzenie, mógłbym powtórzyć, że im bardziej poznaję ludzi, tym bardziej kocham drzewa. Za ich spokój i powagę, za prostotę i naturalność, za rozłożystość i gościnność. Drzewa nie biegają, nie śpieszą się, nie tłoczą, nie udają. Rosną prosto i swobodnie — trwają. Związane mocnymi korzeniami z ziemią, z której wyrosły, dają zmęczonym ludziom i ściganym zwierzętom — cień, schronienie, opoczynek.

Z drzewami bystockiego parku znamy się od dawna i "po imieniu". Przyjechałem tu po raz pierwszy półtora roku temu po długim pobycie w szpitalu, przywiany wiatrem wojennym z Rosji, poprzez Persję, Egipt i dokoła Afryki, bardzo zmęczony i pokaleczony zarówno fizycznie, jak i moralnie. W cieniu drzew tego parku znalazłem spokój i opoczynek. Odtąd datuje się nasza przyjaźń.

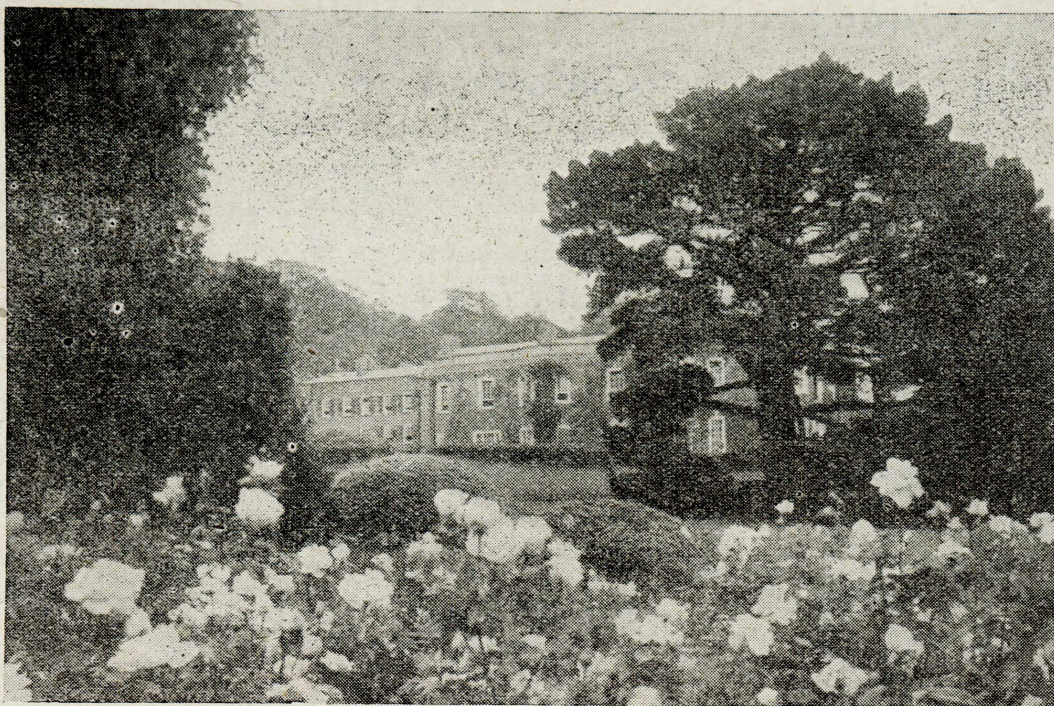
Byłem wtedy pierwszym, zdaje się, polskim pacjentem Bystocku, przysłanym tu z angielskiego szpitala na parotygodniową rekonwalescencję. Dziś, już nie jako pacjent, lecz jako dziennikarz, jadę odwiedzić czterdziestu paru naszych rannych żołnierzy-inwalidów, którzy tu znaleźli schronienie i opiekę w angielskim Domu Ozdrowieńców.

Jest to typowo angielski *manor-house* — pałacyk otoczony parkiem. Przed wojną była to prywatna siedziba zamożnych właścicieli majątku, państwa Bradshaw. Cały dom zajmowała wtedy rodzina składająca się z 5 osób i 7 — 8 służby. Z początkiem wojny major Bradshaw oraz jego synowie poszli do wojska, zaś Mrs. Bradshaw, nie wiele myśląc, "wynajęła" opustoszały dom Brytyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi za ... 4 szylingi rocznie, sama zaś zgłosiła się do pracy w urzędowym w jej rezydencji szpitalu w charakterze pielęgniarki. Dziś pałacyk daje pomieszczenie około 130 chorym i rannym, a Mrs. Bradshaw jest kierowniczką szpitala i razem z licznym zastępem *nurse* i siostr opiekują się swymi pacjentami, wkładając w to dużo serca i zamilowania.

Zwierzchniczką jej z ramienia Brytyjskiego Czerwonego Krzyża i "głową" czyli "*matron*" całego szpitala jest Miss Fagg. *Matron* jest starym żołnierzem: w poprzedniej wojnie była *nurse* w szpitalach polowych, służyła dwadzieścia lat w Indiach i Egipcie, nosi na piersiach wstążeczki *Victoria Medal, General Service, i Coronation Medal*. Lubi wojsko i wojskowe porządki, nie cierpi bałaganu ...

Te dwie kobiety: Mrs. Bradshaw i Miss Fagg, są dwoma zasadniczymi elementami atmosfery bystockiego domu, elementami, które na ogół rzadko chodzą w parze, a które tu panują w całkowitej harmonii — są to: ciepła serdeczność i idealny porządek. Kierowniczka jest sercem tego domu, *matron* — zmysłemładu i porządku.

Przed paru miesiącami Brytyjski Czerwony Krzyż, w wyniku starań Działa opieki nad inwalidami, zaofiarował czterdziestą parę miejsc w Bystocku dla naszych rannych. Wkrótce przyjechała pierwsza grupa Polaków i z miejsca zawojowała serce kierowniczki i jej *nurse*. Kiedy zapytałem Mrs. Bradshaw, czy ma dużo kłopotów z Polakami i czy nie znajdują w nich jakiejś wady, która sprawia jej specjalny kłopot, odparła bez wahania: — "Mogę o nich powiedzieć tylko same dobre rzeczy. Są wdzięczniejsi i bardziej od innych zasługują na opiekę".



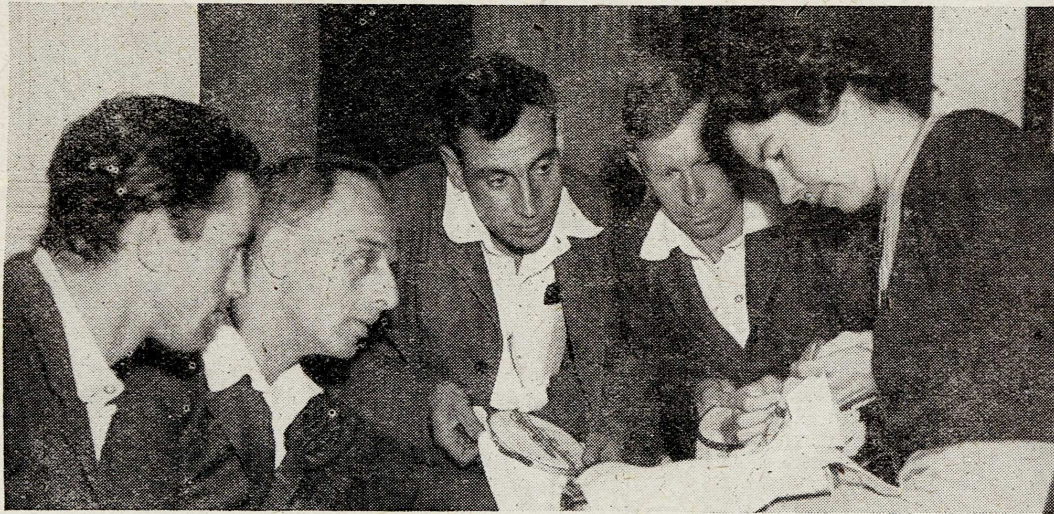
Dom Ozdrowieńców w Bystocku

Trudno nie przyznać racji tym słowom kierowniczki, jeżeli się ich zastanie, tak jak ja ich zastałem — przy porannej gimnastyce ortopedycznej. Oto ich macie wszystkich razem, roznieglizowanych, siedzących na podłodze i wykonujących rytmiczne ruchy ćwiczeń. Siedzą pomieszani z Anglikami — jednakże natychmiast odróżniam każdego z nich bez trudu. Ci, z torsami poszarpanymi głębokimi bruzdami blizn, z czaszkami zdeformowanymi trepanacją, z kikutami okaleczonych rąk i nóg — to nasi. Ci, spod Cassino, Arnheim i Ancony, ci, którzy własnymi ciałami wytyczyli drogę zwycięstw

złamię lub odetnie jakiś konar i drzewo krwawi żywicą, choruje i chroma. Ale wnet z korzeni napływają nowe ożywcze soki, rana zasycha, zasklepia się korą i na wiosnę drzewo puszcza nowe pędy, zielenią się pozostałe gałęzie. My Polacy, mamy w sobie żywotną siłę drzew — umiemy trwać i przetrwać, by odrodzić się na nowo, gdy kiedyś nadejdzie wiosna.

Po gimnastyce schodzimy wszyscy do jadalni na śniadanie. Pożywienie jest smaczne i obfite. *Nursy* napełniają talerze bez żadnych ograniczeń i zachęcają, by brać jeszcze. Tajemnicą specjalnie dobrego wikt Bystocku jest

tylko lekkie pani Walker, ale również ustawiczne obcowanie z angielskimi pacjentami i *nurse*ami. Związczą te ostatnie umiemy być miłą zachętą do nauki języka ... Przy tej sposobności "*matron*", z którą rozmawiałem na ten temat, zauważyła: — "Dziwnie nieregularne są talenty językowe Polaków. Jak się słyszy ich rozmawiających z *nurse*ami na rozmaite tematy — odnosi się wrażenie, że uczą się języka bardzo szybko; ale kiedy się im mówi, żeby coś zrobili, czego robić nie lubią, n.p. że mają wcześniej wrócić z przechadzki, bo ma być jakiś zabieg — to od razu zapominają całej swojej



Lekcja haftu z inwalidami

i własną krwią opłacili sławę polskiego oręża. Czyż jest ktokolwiek na świecie, ktoby bardziej od nich zasługiwał na miłość, opiekę, pobłażliwość?

Sierżant Caulfield z "*Army Physical Corps*" prowadzi tę gimnastykę, dostosowaną do potrzeb inwalidów, bardzo umiejętnie. Polacy wykonują ćwiczenia chętnie i chwalą sobie ich wyniki. Po długim leżeniu w łóżkach szpitalnych trochę ruchu, wysiłku i żywsze cyrkulowanie krwi w żyłach — niesie, poczucie zdrowia, i zaufanie w powracające siły.

W pewnej chwili, kiedy z uniesionymi rękami wykonują jakieś skłony tułowia, grupa inwalidów kojarzy mi się nagle z gromadą drzew targanych wiatrem, tam za oknami, w bystockim parku. Wśród drzew też bywają inwalidzi. Bywa, że wiatr, czy ręka ludzka

wzorowo prowadzona farma tamtejsza, która dostarcza swoje produkty wprost do szpitala.

Po śniadaniu pacjenci rozchodzą się do swoich sal lub, jeśli sobie życzą, idą do warsztatów, w których pod kierownictwem specjalnych instruktorek wyrabiają różne wyroby skórzane, robótki, hafty i zabawki. Dla Polaków zorganizowano specjalny kurs języka angielskiego. Instruktorami robot i nauki języka są panie Walker, dwie siostry-bliźniaczki, tak podobne do siebie, że początkowo nie można było odróżnić jednej od drugiej. Ale nie tylko z powierzchowności są podobne — obie wkładają w swoją pracę ten sam niespożyty zapal, uczynność i cierpliwość.

Nasi inwalidzi robią szybkie postępy w nauce języka angielskiego. Przyczyniają się do tego nie same

angielszczyzny i przestają rozumieć co się do nich mówi ...

Spędziłem w Bystocku trzy długie, miłe dni. Rozmawialiśmy z rannymi dużo i często, poruszaliśmy wiele ciekawych tematów. Chciałbym napisać o wszystkim, co widziałem i słyszałem. Jest tego jednak zbyt dużo, by się zmieściło w jednym raporcie. W tym raporcie będzie przeważnie o *nurse*ach; o inwalidach będzie osobno.

Nurse Faith, choć to imię bardzo ładnie brzmi /po angielsku *faith* — znaczy: wiara/ została przez Polaków przechrzczona na Basia. Trudno, jak się ma taką okragłą buzię, dwa dołeczki na policzkach i grzywkę nad błękitnymi, jak niebo oczami — to się musi być Basią, i nie ma na to rady. Wszyscy się zgodzili, że Basia jest "typową Polką" i że

z tym imieniem jest jej bardziej do twarzy. Nawet angielscy pacjenci muszą to jej nowe imię honorować.

Nurse Valerie jest oczywiście Walerią — z tych samych powodów. Miss H. adoptowała polskiego marynarza, który przebywał tu kiedyś na rekonwalescencji. Po wojnie zamierza pojechać do Polski na pracę z ramienia Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Uczy się po polsku.

Od rana do wieczora krzątają się pracownicy *nurse*y i siostry szpitalne, spełniając wszelkie posługi, wykonując najczarniejsze roboty: sprzątają, ścielą, roznoszą posiłki i lekarstwa, myją naczynia i skrobą ziemiaki. I chociaż mają pełne ręce roboty, chociaż wszystko musi u nich być zrobione sprawnie i punktualnie co do minuty — zawsze jednak znajdują czas na krótką pogawędkę i miły uśmiech dla każdego pacjenta. Jak Bystock — Bystockiem, nikt jeszcze nie widział żadnej *nurse*y, czy siostry w złym humorze, kwaśnej, opryskliwej lub oficjalnej i oschłej.

Nie też dziwnego że w takiej atmosferze miękna i taja szybko nawet najbardziej zatwardziały żołnierskie serca inwalidów. Po pałacyku snują się sentymentalne, niewinne afery miłosne, flirty, szepty, westchnienia. W rezultacie opiekun grupy Polaków pchr. Zucker, jako biegły w języku angielskim, pisze codziennie komu innemu płomienny list miłosny do adresatki oddalonej ... o długości korytarza.

A teraz popelnij niedyskrecję, którą nie wiem czy mi kiedykolwiek wybaczą moje bystockie znajome. Otóż: "Basia" jest córką byłego ministra Unii Południowo-Afrykańskiej, obecnie dyrektora i akcjonariusza *South Western Railway*. Ojciec "Waleri" jest pułkownikiem i ma majątek nie mniejszy od Bystocku. Miss H. stać na kupno, powiedzmy, paru pensjonatów w Zakopanem. I tak dalej, mógłbym wymieniać majątki i stopnie społeczne przeważnie części tych pań, które ohotniczo a ochoczo myją naczynia i skrobą ziemiaki w bystockiej kuchni za ... 1 £ 4 sh. tygodniowych poborów *nurse*y.

Jeżeli zdradzam tę tajemnicę, której na ogół nie znają nawet starzy bywalcy Bystocku, to robię to nie z dziennikarskiego gadulstwa, a z pewną myślą. Może reportaż mój przeczytają nasze panie "starościny", "pułkownikowe" i "inżynierowe". Może im ten reportaż jakąś dobrą myśl nasunie. Może zechcą odwiedzić Bystock i przejść tam ... rekonwalescencję.

Przed wyjazdem zaproponowałem mojej dawnej sympatii, *nurse* Margaret, wspólne pójście do kina. Zgodziła się chętnie pod warunkiem, że przyjdę do nich przedtem na obiad. Na miejsce spotkania przyjechała po mnie już nie *nurse*, ale dama w drogim futrze; przyjechała taksówką, bo własne auto stoi w garażu od początku wojny bezczynne z powodu braku benzyny. Obiad był oczywiście przy świecach i na srebrze, przy stole tak długim, że się chce z jednego końca na drugi "hop-hop" wolać.

Po kinie i kolacji Margaret gra dla mnie Szopena w muzycznym saloniku. W pewnej chwili przerywam jej grę i zaczynam uważnie oglądać jej dłonie. Są całe popękane, poparzone i szorstkie, jak ręce kucharki. Margaret jest trochę zażenowana tymi oględzinami: — "Ach tak — tłumaczy — ta praca w szpitalu ogromnie niszczy ręce. Nie mogę ich nigdy doprowadzić "do porządku".

A kiedy w odpowiedzi całuję te ręce z wielkim nabożeństwem, Margaret patrzy na mnie ze zdziwieniem i myśli: — "Dziwni czasem są ci Polacy. Dopatrują się czegoś nadzwyczajnego w najprostszyc, zwykłych rzeczach".

Pomawiamy Anglików często o chłód, o oschłość serca. Zarzut ten oparty jest na powierzchowności obserwacji. Żeby zobaczyć angielską "sentymentalność", trzeba ich podpatrzeć przy konkretnej, rzeczowej pracy. Od nich samych nie dowiemy się niczego o tych sprawach — to jest u nich tym właśnie, "o czym się nie mówi".

STANISŁAW
MIODUSZEWSKI

Poradnik żołnierski

P. Jan M.

Bardzo Panu współczuję, jednak wyjazd Pana do Brazylii dla spędzenia urlopu leczniczego przy rodzinie jest niemożliwy. W sprawie tej decyduje Brytyjski War Office.

Podchorąży O — ski.

Listy powinny być doręczane żołnierzom w oddziałach każdego dnia. Nie znajduję uzasadnienia dla "zwyczajów" doręczania poczty tylko dwa razy na tydzień. Musi tu zachodzić jakieś nieporozumienie. Dostarczanie poczty żołnierzom należy się tak samo, jak i dostarczanie żywności każdego dnia. Proszę w tej sprawie zwrócić się z prośbą o interwencję do Oficera Opieki Oddziału. Listy wysyłane z frontu przez żołnierzy do W. Brytanii, nie podlegają opłacie.

Pani Leokadia P.

Nie podaje Pani kiedy mąż zginął. T.zw. "zaopatrzenie wdowie i sieroc" może być przyznane Pani i dzieciom, o ile mąż Pani poległ w okresie po 1.IX.1939 r. Przyznanie zaopatrzenia nastąpić może na zasadzie protokołu polsko-brytyjskiego w tej sprawie z dnia 18.V.1943 r. i przy zastosowaniu obowiązujących brytyjskich przepisów prawnych. W sprawie otrzymania bliższych informacji proszę się zwrócić do Wydziału Rodzin Wojskowych Biura Opieki nad Żołnierzem /adres: Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1/.

Utan M.S.

Dla służenia radą i pomocą żonom Polaków, którzy ożenili się z Bry-

tykami istnieje: "Advisory committee for British-born wives of Polish nationals" przy Central Council of Anglo-Polish Societies, adres: 45, Belgrave Square, London, S.W.1. Sądzę, że dobrze Pan zrobi o ile poprosi Pan, by żona zgłosiła do tego komitetu swoje nazwisko i adres.

Plut. Kazimierz M — ski.

Ostatnio wyszło zarządzenie Ministra Obrony Narodowej, na podstawie którego podoficerowie i szeregowcy W.P. mogą nosić poza służbą /w służbie tylko zatrudnieni w biurach/ koszule flanelowe koloru khaki z kołnierzykami i krawatami khaki. O ile żołnierz używa koszuli z kołnierzykiem, obowiązuje go rozpięcie dwu górnych guzików *battle-dress'u*.

TOWARZYSZ BRONI

★ ★ ★

Zwraca się do was, żołnierze, "Towarzysz Broni". Staje on wśród was, napływających tłumnie do bratnich szeregów, ażeby mówić z wami o naszej Sprawie, o Polsce Walczącej, o Polskich Siłach Zbrojnych.

Dążyliście do nich z różnych stron i różnymi drogami. Często poprzez srogą niemiecką niewolę, czy wymuszoną służbę we wrogi mundurze. Wielu was szlakami tułaczymi przekradało się przez całą potęgę wroga, przez kordony i granice, ryzykując życiem; niejedni przeszli katusze i więzienia. Wielu was, zanim dotarliście do szeregów narodowych, uczestniczyło w walce i pracy podziemnej w Polsce, we Francji i w innych krajach ujarzmionych przez wspólnego wroga. Tysiące was, ochotnicy z Francji i Belgii, ruszyło na pierwsze wezwanie prawowitego Rządu Rzeczypospolitej, by walczyć za Ojczyznę waszych ojców i matek. Są wśród was tacy, którzy po raz pierwszy zetknęli się z polskimi Siłami Zbrojnymi. Są również tacy, którzy przez długie lata odcięci byli od Polski i jej spraw.

Dużo macie do powiedzenia sobie wzajemnie w tej rosnącej szybko rodzinie żołnierskiej i dużo mają wam do powiedzenia o tej rodzinie ci koledzy wasi, którzy byli uczestnikami losów naszych Sił Zbrojnych, od chwili gdy przed pół szóstą ręką wrogą opominali naszą ziemię, a żołnierze polscy pod naczelnym dowództwem generała Sikorskiego ponieśli w obce strony sławę polskiej broni.

"Towarzysz Broni" to jeden z takich kolegów. Życzę mu, by stał się wam bliskim przyjacielem, obecnym stale w każdym żołnierskim kole, gdziekolwiek pełnią służbę Siły Zbrojne Rzeczypospolitej.

MARIAN KUKIEL, gen. dyw.
Minister Obrony Narodowej

Szkocja, kraj wojennej gościny

Nasze miejsca postojów rozmieszczone są w Szkocji, malowniczym, starodawnym kraju, stanowiącym północną część Wielkiej Brytanii. Jest to kraj pod wieloma względami od nas odmienny, ale — stał się dziwnie bliski Polsce, i żołnierzowi polskiemu podczas tej wojny. Świeżo przybywającym kolegom warto w związku ze Szkocją przypomnieć pewne rzeczy.

Żołnierz polski przybył po raz pierwszy do tego kraju latem 1940 roku. Było to po klęsce, jaką Niemcy zadali Francji. Oczywiście, niewielu wówczas żołnierzy polskich umiało się posługiwać językiem angielskim. Ten brak znajomości języka wcale nie stanął na przeszkodzie przyjaźni, która zawiązała się pomiędzy szkocką ludnością i żołnierzem polskim. Przyjaźń ta trwa po dzień dzisiejszy, coraz bardziej się rozwijając. Rozpoczęła się ona wówczas, kiedy do pierwszych obozów wojska polskiego w Szkocji przyjeżdżała załoga z rodzinami, aby zapraszać w gościnę żołnierzy z dalekiego Kraju.

Te znajomości przetrwały lata całe. Żołnierze nauczyli się języka angielskiego — gospodarze zaś później, z opowiadań i książek poznawali Kraj swoich żołnierskich gości.

Nie było to pierwsze w historii zetknięcie się Polaków ze Szkotami. Wcześniej miało miejsce, w wieku siedemnastym, czyli około 300 lat temu. W Szkocji trwały wtedy walki religijne, doprowadzając do tego, że kraj ten w większości stał się protestanckim. Wtedy to około 30 tysięcy Szkotów-

katolików, opuściło Szkocję, i osiedliło się w Polsce, dając początek wielu rodzinom polskim szkockiego pochodzenia.

Podczas wojen napoleońskich, przeszło 120 lat temu, Polacy, którzy się dostali do Anglików jako jeńcy wojenni — zostali umieszczeni w tym charakterze po szkockich okregach.

Oba narody mają ze sobą związki i trwają, i dawne.

Polskie Siły Zbrojne

Polskie Siły Zbrojne, które tak się wspaniale w obecnej chwili rozrastają na obczyźnie — mają już za sobą w toku tej wojny bardzo długą i barwną historię. Dziś, gdy szeregi zapelniają się nowymi kolegami, z których jedni zostali przymusowo wcieleni do armii wroga, a inni są ochotnikami z Francji i Belgii — słusze jest przypomnieć, jak to pięć lat temu, odbudowywała się na obczyźnie Armia Polska.

Jak wiemy, najazd niemiecki jesienią 1939 roku zniszczył Polskie Siły Zbrojne w Kraju, lecz ich nie unicestwił. Albowiem, już pod koniec września 1939 roku, a więc tego samego miesiąca, w którym pod przewagą wroga zmuszona była skapitulować Warszawa — powstał we Francji obóz, który od pobliskiej miejscowości przyjął nazwę Camp de Coëtquidan.

Był to obóz, jak tyle obozów dzisiaj działających w Szkocji, szkolno-rozdzielczy. Na wezwanie gen. Sikorskiego, Naczelnego Wodza,

Kierownicze władze polskie na obczyźnie



Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz i Prezes Rady Ministrów Tomasz Arciszewski

Najwyższym zwierzchnikiem Polskich Sił Zbrojnych jest Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Raczkiewicz. Przed wybuchem wojny obecny Prezydent był wojewodą pomorskim. Z tytułu swoich konstytucyjnych uprawnień — Pan Prezydent powołuje i odwołuje Rząd, który kieruje całokształtem spraw narodu i państwa. Pan Prezydent Raczkiewicz objął urząd na zasadzie zgodnej z konstytucją przekazania mu władzy przez poprzedniego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Pierwszym Premierem na obczyźnie, powołanym na ziemi francuskiej jesienią 1939 roku, był generał Władysław Sikorski, który kierował sprawami państwowymi do dnia 4 lipca 1943 roku. W dniu

tym samolot, którym gen. Sikorski powracał z inspekcji wojsk polskich na Bliskim Wschodzie, uległ wypadkowi, startując z lotniska w Gibraltarze.

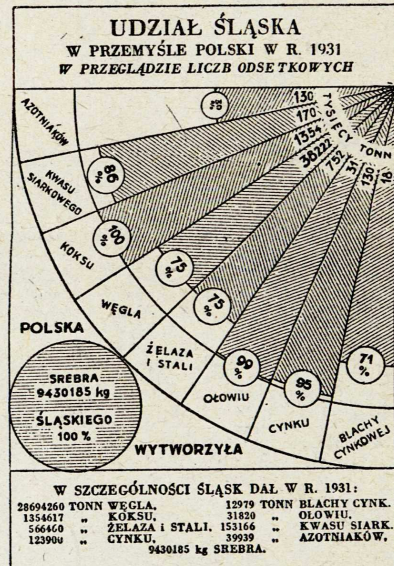
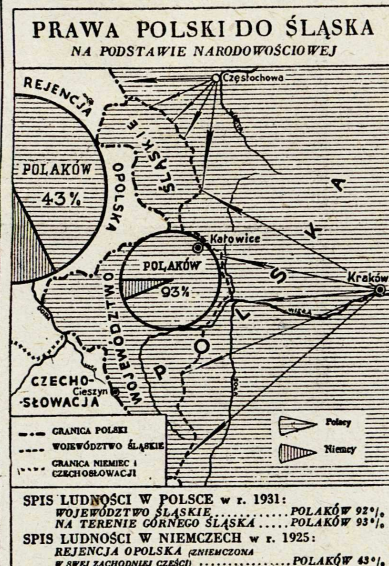
Po żołnierskiej śmierci gen. Si-

korskiego na posterunku, Pan Prezydent powołał na stanowisko Premiera p. Stanisława Mikołajczyka, rolnika z Poznańskiego, przewodcę Stronnictwa Ludowego, który kierował Rządem Polskim do listopada 1944 roku.

Dnia 29 listopada 1944 roku na czele Rządu Polskiego stanął p. Tomasz Arciszewski, ślusarz z zawodu, cztery miesiące przed nominacją przybyły z Kraju, jako jeden z kierowników ruchu podziemnego, oraz przewodca Polskiej Partii Socjalistycznej. P. Tomasz Arciszewski walczył od zarania swej młodości o niepodległość Polski i równość społeczną, zarówno w roku 1905, jak i 1914, a od chwili okupacji Polski przez Niemców jesienią 1939 roku do lata 1944 — kierował bezpośrednio i osobiście walką narodu polskiego przeciwko okupantom.

Premier Tomasz Arciszewski jako Prezes Rady Ministrów kieruje polityką polską w chwili bieżącej. Chwila to osobiwa i do łatwych nie należy. Żołnierz polski, który zaprzysiągł wierność własnej władzy państwowej, wie, że ani Prezydent, ani Premier nigdy nie mogą zawieść prostych żołnierskich nadziei.

Ziemie polskie: Śląsk



Na ziemi obcej, wśród miejsc niewątpliwie miłych i ładnych, które wypadają dobrze poznać — należy również gorąco, starannie, całe serce poświęcić o swojej ścisłej Ojczyźnie, jak wyraził się trafnie wielki polski pisarz, Stefan Żeromski.

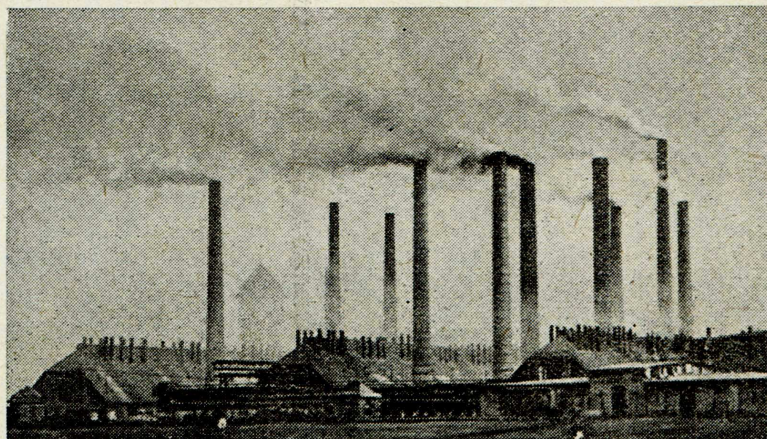
Dla wielu wśród nas, bardzo wielu Ślązaków, taką ścisłą Ojczyzną jest nasz ukochany, drogo ceniony Śląsk. I nie tylko Ślązak, ale po prostu każdy Polak, kocha serdecznie tę ziemię kominów, hut, fabryk, kopalni. Ziemię, która od stuleci była zalewana niemieckim potopem, lecz zalać się nie dała. Pozostała nade wszystko polską.

Gdy sobie przypominamy Katowice, Mysłowice, Siemianowice, Świętochłowice czy Chorzów, pamiętajmy, iż przed dziesięciu wiekami Śląsk nazywał się Starą Polską, w odróżnieniu od Wielkopolski i Małopolski. I był on na całej przestrzeni, od Lignicy, Głogowa i Wrocławia po Mysłowice — jednym z filarów ówczesnego Państwa Polskiego.

Śląsk — to węgiel, wydobywany ciężką pracą górnika w kopal-

niach. Śląsk — to stal, wykuwana w olbrzymich, gorejących płomieniami hutach. Śląsk — to historia najstarszych kopalni w Tarnowskich Górach, to ciche domeczki Lublińca i Pszczyny, to kościółek w Piekarach, gdzie w czasie pochodu pod Wiedeń modlił się król Jan Sobieski, ażeby Bóg mu zezwolił zwyciężyć. I po tej modlitwie — Bóg poszczęślił polskiemu orężowi. Śląsk — to trzy bohaterskie powstania, które zadecydowały o przynależności Górnej Śląska do niepodległego Państwa Polskiego.

Piękna, kochana, a niezapomniana dla nikogo z Polaków — jest Ziemia Śląska. Toteż, gdy przetoż się fale wojny, sztandar polski biało-czerwony i orły narodowe ukazują się nie tylko nad Katowicami, Chorzowem, Rybnikiem, i wieloma innymi miastami przedwojennego województwa śląskiego. Śląskie ręce zaciągają polskie tysiącletnie symbole państwowości z powrotem nad Bytomiem, Opolem, i daj Boże, nad prastarymi polskimi miastami: Wrocławiem, Lignicą, Głogowem.



Z miejsc postojów

Codziennie życie na miejscach postojów, w obozach szkockich, odbywa się miarowo, według planu zajęć kompanii, baonów, baterji, dywizjonów, szwadronów, i pułków. Jest ono jak najściślej związane ze szkoleniem wojska, i tymi wszystkimi sprawami, które się z przygotowaniem i zaprawą wojską łączą.

Od czasu do czasu dzieją się na terenie Szkocji wydarzenia, które mają swój wpływ na nasze życie żołnierskie, i trzeba je rejestrować, jeśli mają być materiałem do przemysłu nie tylko dla uczestników.

Niewątpliwie, w dużej skali takim wydarzeniem był trzydniowy Zjazd /od 15 do 17 lutego/ odbyty w Edinburgu, a stanowiący

sejm Zrzeszenia Nauczycieli Polaków w Wielkiej Brytanii. Na ten nauczycielski sejm przyjechało wielu kolegów, którzy dopiero niedawno przywróceniu zostali mundurowi żołnierz polskiego.

Dnia 15 lutego odbyło się otwarcie III kursu oficerów opieki z udziałem gen. T. Malinowskiego z ramienia Ministerstwa Obrony Narodowej. Na kursie duży odsetek stanowią nasi nowi koledzy.

Dnia 24 lutego w Edinburgu odbyło się walne doroczne zebranie Oddziału Szkockiego Klubu Polskich Ziem Zachodnich, podczas którego p. Roman Fengler, wiceprezes Rady Narodowej R.P. przypominał wygłoszone swego czasu słowa b. ministra Mariana

Seydy o tym, że "Polacy z ziem zachodnich kochają Poznań, Bydgoszcz i Katowice — pamiętają również o Lwowie i Wilnie".

Dnia 26 lutego w jednym z obozów szkolno-rozdzielczych spotkała się z ochotnikami z Francji i Belgii delegacja Centralnego Komitetu Walki z Francji. Polonij francuską reprezentowali pp: Wawrzyniec Baran, Teodor Krawczyński i Aleksander Skrodzki, którzy również tego samego dnia wzięli udział w otwarciu kursu wiedzy o Polsce, zorganizowanego w Edinburgu przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy.

Przewodcy Polonii francuskiej wywarli jak najlepsze wrażenie na wszystkich żołnierzach, z którymi mieli możność się zetknąć.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

KOMUNIKAT MINISTERSTWA
W.R. I O.P.

Ministerstwo W.R. i O.P. zamierza uruchomić w początkach maja b.r. Szkołę Rolniczą przy West of Scotland College of Agriculture w Glasgowie. Czas trwania nauki /1 rok/ będzie podzielony na 2 Kursy teoretyczne po 3 miesiące każdy: I Kurs od maja do lipca b.r., II Kurs od stycznia do marca 1946 r. Okres między dwoma Kursami będzie przeznaczony na zorganizowanie praktyki rolniczej.

Część lekcji z przedmiotów zawodowych będzie prowadzona w języku angielskim przez profesorów West of Scotland College of Agriculture. Na wszystkich lekcjach, prowadzonych w języku angielskim, będzie obecny polski instruktor — tłumacz. Zajęcia praktyczne w czasie nauki teoretycznej będą prowadzone na Stacji Doświadczalnej West of Scotland College of Agriculture.

Warunki przyjęcia:

1/ ukończenie 6 klas Szkoły Pośredniej, 2/ 2-letnia praktyka rolnicza, 3/ ukończony 20-ty a nie przekraczający 30-ty rok życia, 4/ co najmniej mierne opanowanie języka angielskiego, ze względu na lekcje prowadzone w jęz. angielskim, oraz ze względu na zajęcia praktyczne i praktykę, 5/ egzamin sprawdzający z przedmiotów ogólnoszkolnych, 6/ nienaganna opinia.

Inwalidzi W.P., zdolni do pracy na roli mają pierwszeństwo.

Podania o przyjęcie do szkoły należy nadsyłać najpóźniej do dnia 31 marca b.r. pod adresem Kierownika Szkoły: inż. Henryk Przyborowski — 31, St. Vincent Crescent, Glasgow.

Do podania należy załączyć własnoręcznie napisany życiorys.

Na pomoc Warszawie: £3,055

Przesyłam w załączeniu czek na £4 /cztery funty/ na pomoc dla ludności Warszawy od J. i S.S. z okazji otrzymania szczęśliwej wiadomości o uratowaniu się najbliższych z Warszawy.

T. Kossowska

NAP.C.K.

Bezimiennie £2 /dwa funty/ na P.C.K.

Zamiast wieńca na trumnę ś.p. st. strz. Piłchicki Alojzego złożył Komendant Ośrodka Szkolenia Bojowego płk. Stankiewicz £5 /pieć funtów/ na zakup książek dla biblioteki żołnierskiej O.Szk. Boj.

£1 /słownie: jeden funt/ na Fundusz Pomocy Warszawie przesyła O.R.P. "Krakowiak"

W załączeniu przesyłam £1 z przeznaczeniem: 10 sh. na pomoc Warszawie i 10 sh. na jeńców polskich.

Krystyna Lubieniecka

NA PACZKI OD SERCA

Zamiast życzeń świątecznych — £1 na pomoc jeńcom polskim w Niemczech składa

K. Romaszkan

10 sh. na jeńców polskich.

Krystyna Lubieniecka

Bezimiennie £2 do uznania Redakcji.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £7.10.0 /siedem funtów, dziesięć szylingów/ przekazałmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,055.13.7 /słownie: trzy tysiące pięćdziesiąt pięć funtów, trzynaście szylingów i siedem pensów/.

WALNY ZJAZD CZŁONKÓW
Z.A.S.P.

Zarząd Z.A.S.P.-u Gniazdo Londyn, zawiadamia, że Walny Zjazd członków Związku Artystów Scen Polskich, odbędzie się w dniu 29-y marca b.r. o godz. 11.15 rano w 1-y terminie i 2-gim terminie o 11.30 w lokalu Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1.

W razie braku quorum przewidzianego statutem w pierwszym terminie, Walny Zjazd odbędzie się w drugim terminie w tym samym dniu i w tym samym lokalu, uchwały będą prawomocne bez względu na liczbę obecnych członków.

Wnioski na Walny Zjazd powinny być nadesłane do Zarządu Z.A.S.P.-u najpóźniej do 25-go marca b.r. Dnia 28-go marca nabożeństwo o godz. 10 rano, w kościele Polskim przy 2, Devon Rd.

STANISŁAW SZAJKOWSKI, urodzony 15.8.1916 w Tylicach, powiat Toruń, poszukiwany przez Faleńskiego Antoniego P/76 Polish Forces.

Inwalidzi i Ranni Żołnierze
II. Korpusu

proszeni są o odwrotne podanie pocztą lotniczą obecnych adresów do swoich macierzystych oddziałów. W wypadku zagubienia N-ru poczty polowej, listy należy kierować do: "Seksja Polowa", Polish Forces, C.M.F. 95 — z określeniem danych, umożliwiających dalsze przesłanie listu.

KOMUNIKAT P.C.K.

Ranni Żołnierze, którzy przebywali w obozach W.P. na terenie Kanady, proszeni są o zgłaszanie swoich adresów do P.C.K. 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, celem przekazania ich nazwisk Kanadyjskiemu Towarzystwu Przyjaciół Polaków w Owen Sound, Ont.

HAVE YOU ANY
SKIN TROUBLE?ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd

CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

W HOLANDII



—Feluś, czy ty wiesz, że każdy Amerykanin otrzymuje wannę?
—Dlaczego?
—Po zdobyciu Kolonii, każdy ma się kąpać w wodzie kolońskiej...

W SĄDZIE POŁOWYM

—Co za diabeł was namówił, żeście uciekli z oddziału i w czasie dezercji na dobiek ożeniliście się!
—Nikt, proszę wysokiego sądu, ale do żeniactwa już mnie chyba rzeczywiście diabeł namówił!...

RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Z REPORTAŻU AMERYKAN-SKIEGO Z NOWEJ GWINEI

Pewnego jeńca japońskiego zapytano, jacy żołnierze najlepiej walczą w dżungli.

"Australijczycy", odpowiedział. "A po nich, kto? Chyba Amerykanie?"

"Nie, Japończycy!"

"A Amerykanie? Czyż nie walczą dobrze w dżungli?"

"Nie! Amerykanie nie walczą w dżungli. Amerykanie usuwają dżunglę", brzmiała odpowiedź.

/d/

Sześcioletni Szkot ożenił się z dwudziestoletnią panną.

"Zrobiłeś głupstwo" powiedzieli mu przyjaciele. "Za dwadzieścia lat ty będziesz miał 80 a ona 40".

DOWCIP ŻOŁNIERSKI

W pociągu jedzie jeden z naszych plotkiewiczów.

—Panie kolego, pan daleko jedzie?

—Do Edynburga.

—A po co pan tam jedzie?

—Na urlop.

—A do kogo?

—Do znajomych.

—A gdzie oni mieszkają?

—W domu.

—A co pan tam będzie robił?

—Żenię się!!!

—A z kim?

—Ze świnką!

—Ze świnką??? A ma pan zezwolenie kapelana? Przecież to bliskie pokrewieństwo...

NAUKA NIE IDZIE DO...
OTWOCKA

—W którym roku zostaliście awansowani na kaprala? — pyta kapitan.

—Kiedy nie pamiętam. Ja zawsze źle stałem z historią. Nawet księdzu też się przytrafia, jak to pisali w gazetach... w "to i owo"...

POCIECHA

Szkot zwraca się do Polaka:

—Po moim premiera to chyba jesteście zadowoleni?

—Dlaczego????!!!

—Otrzymacie obywatelstwo brytyjskie...

—O tak, teraz czujemy się jak Wasz szkodliwy król!

—Który?

—Jan bez Ziemi...

PO ODMOWIE FRANCJI



Zabawa w ciuciubabkę...

MIĘDZY RODAKAMI

—Co pan zamierza robić po wojnie?

—Z pana też jest niepoprawny optymista! To pan jeszcze wierzy, że ta wojna się skończy?

PREMIER CHURCHILL NA
FRONCIE

—Z prawej strony — kto walczy?

—Kanadyjczyki!

—W środku!

—Amerykanie!

—Z lewej?

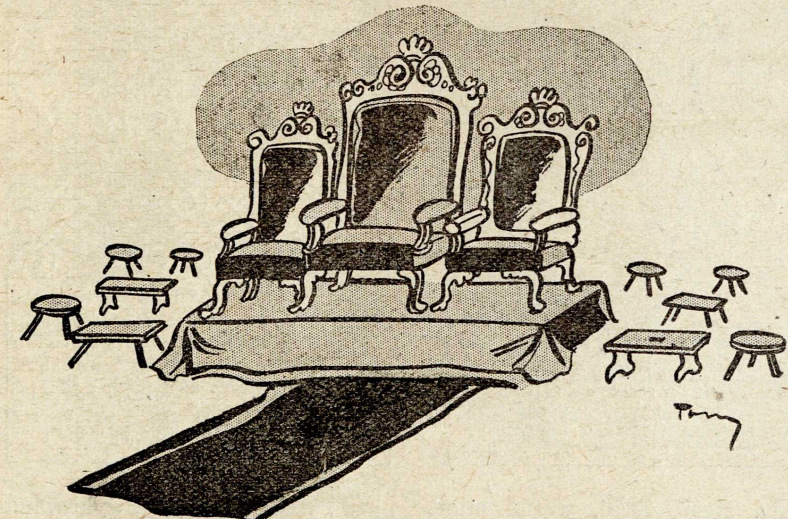
—Polacy! Właśnie walczą z wiatrakami...

Tekst i rysunki: TONY

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

PRZED KONFERENCJĄ W SAN FRANCISCO



Miejsca siedzące dla narodów zjednoczonych

POJĘCIE CZASU

Świeżo upieczony lekarz otrzymuje pierwszy przydział na oddziale kobiecym.

—Pani kiedy spodziewa się potomstwa?

—W marcu, panie doktorze!...

—A pani?

—Też w marcu — odpowiada ochotniczka.

—Czy pani też w marcu? — zwraca się lekarz do następnej pacjentki w stopniu st. sierżanta.

—Nie, panie doktorze, ja nie byłam na tym kursie...

NOWA MODA

Polak żeni się ze Szkotką. Po ślubie żona zwraca się do męża:

—Mój drogi, gdy będziemy mieli dzieci to jakie im damy imiona?

—Oczywiście polskie i szkockie!

—Ja chciałabym jakieś bardziej oryginalne. Może weźmiemy imiona od nazw amerykańskich papierosów.

Jeżeli urodzi się chłopiec to otrzyma imię — "Chesterfield".

—A jeżeli dziewczynka?

—To dostanie imię — "Virginia".

—A jeżeli nic z tego nie wypadnie?

—To — "Lucky Strike"...

MONOMARK SERVICE

PERMANENT LONDON ADDRESS

LETTERS REDIRECTED AT ONCE TO
ENGLISH OR OVERSEAS ADDRESSES

5/- p.a. Royal Patronage

Write to:
MONOMARK BM/MONO 51, London, W.C.1

SPIS RZECZY:

Konny Artylerzysta: Towarzysze broni. — Marian Walentynowicz: Bombardowanie nocne /rysunek/. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — M. K. Dziewanowski: W 24-tą rocznicę plebiscytu śląskiego. — Mieczysław Lisiewicz: Lipa. — Marek Święcicki: Gdy "spokojny" front hałasuje /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Ryszard Krygier: MacArthur wraca na Filipiny. II. Filipiny — wyspa chrześcijaństwa na Dalekim Wschodzie. — Stanisław Mioduszecki: Drzewa bostockiego parku. — Poradnik żołnierski. — "Towarzysz Broni" /Słowo wstępne. Polskie władze naczelne na obczyźnie. Szkolą — kraj wojennej gościnności. Polskie Siły Zbrojne. Ziemię polską: Śląsk. Z miejsc postoju/.

Ukazała się nowa książka

p.t.

"SZUM MŁODOŚCI"

STEFANA ŁASZKIEWICZA

Cena 10/6

SKŁADNICA KSIĘGARSKA

8, Hope Street, Edinburgh.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6 d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Nakładem

THE LIBRARY OF FIGHTING
POLAND

17, Rosslyn Hill, London, N.W.3

ukazały się wydawnictwa:

Karol Zbyszewski:

WARSAW WAS A BEAUTIFUL CITY ... Cena 3/6

Aleksander Junosza-Gałęcki:

POLISH PATRIOTS MADE IN MOSCOW ... Cena 2/6

BE TALLER!
INCHES PUT YOU
MILES AHEAD!
Increased my own height to
6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—
No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete
Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialists,
BM/Hyte, London, W.C.1